CENA 15 zł

Wiatr od Morza

CZASOPISMO POŚWIĘCONE POLSKIEJ KULTURZE MARYNISTYCZNEJ

ROK I | Gdańsk-Gdynia, maj 1946 r. | Nr 4

STANISŁAW SZYMBORSKI

ZWIĄZEK MIAST MORSKICH

Myśl morska w Polsce na przestrzeni naszego pokolenia posiada już pewne osiągnięcia. Miały one w okresie przedwojennym charakter sentymentu i pragnień, który powoli począł się przekształcać w wolę czynu.

Pierwsze rejsy sportowe pod polską banderą z Gdyni na Bałtyk, uważane wówczas ogólnie za szaleństwo jednostek, stworzyły przecież do 1938-ego roku obraz ruchu masowego, poważnie przemyślanego. Szukanie wzruszeń i pięknych pejzaży zmieniło się w **chęć walki z żywiołem** i opanowania go w każdej sytuacji. Morze poczyna wychowywać setki i tysiące młodych ludzi. Śmielsi próbują wyczynów Gerbaulta, Slocuma, Robinsona. Trzy polskie jachty wychodzą z Bałtyku z zamiarem opłynięcia kuli ziemskiej. Jednemu udaje się wrócić z drugiej strony do Europy, drugiego zawierucha wojenna zatrzymuje w Ameryce po przepłynięciu oceanu, trzeci rezygnuje w drodze.

Wola czynu szuka gruntu dla realnych możliwości, płacze się jednak jeszcze w podnieceniu, w manifestacjach i rojeniach zapalonych umysłów. **Dopiero Gdynia pokazuje realny sens myśli morskiej.** Toteż, gromadząca się coraz tłumniej, latem, młodzież z całej Polski wchłania ją z zachwytem, dzieląc dumę rozwijającego się portu. Ten instrument gospodarki narodowej, który odliczał dewizy dla skarbu państwa, dokonał jednocześnie drugiego dzieła. Oto wzbudzał coraz uporczywiej zainteresowanie sprawami morza, tworzył niedostrzegalny, ale mocny **instynkt prawa Polski do morza.**

Okres wojny ujawnia ten instynkt szeregiem pięknych momentów. Najpierw Westerplatte i bohaterstwo naszej floty wojennej, potem liczne obozy koncentracyjne, za których drutami organizuje się samorzutnie kursy kształcące o morzu, o żeglarstwie, o handlu morskim. Egzaminy, świadectwa. Nawet na emigracji myśl morska nie daje ludziom spokoju. Na półkach księgarskich Londynu ukazują się książki w angielskim i polskim języku o artystycznym odtworzeniu obrazów morskich, o żeglarstwie dalekomorskim, robotach linowo-żaglowych. Piszą je żeglarze z „Zawiszy Czarnego": Leszczyński i Grodzicki.

W kraju, w czasie okrutnej okupacji, myśl morska zaznacza się przez postawę bojową, nasuwając odrębne zagadnienia dla pracy konspiracyjnej. Wywiera ona wpływ przez organizowanie tajnych kursów morskich i — co najważniejsze — daje argumenty dla trzeźwej oceny sytuacji politycznej i przekonywuje, że powrót ziem Słowian nadbałtyckich do Polski jest jedynym słusznym, sprawiedliwym i logicznym zlikwidowaniem problemu niemieckiej agresji.

Wynik wojny i rzeczywistość, którą nam dała wiosna 45-ego roku, zamyka ostatnią kartę pierwszego rozdziału myśli morskiej, otwierając nową.

Stanęliśmy na długim brzegu Bałtyku z tak dawnymi, z tak odległymi w czasie dowodami wspólnoty, wobec tylu jej śladów, zatartych starannie przez Niemców, że teren cały jest dla nas — w pierwszym momencie — prawie obcy. Ale posiada **dobrze nam znany** krajobraz Szwajcarii Kaszubskiej i wzgórz Oksywskich. Cały szereg nowych portów ma wprawdzie strzaskane lub wywiezione urządzenia, ale zachował swoje charakterystyczne cechy, które wskazują, jakie elementy składały się na życie i dobrobyt tego kraju. Zasadniczo zmienili się ludzie, którzy prowadzić będą gospodarstwo tej ziemi. Ale morze i gleba pozostały te same. Przy tym układ geopolityczny, w jakim znalazły się obecnie miasta morskie nad Bałtykiem, jest dla nich korzystniejszy i pełniejszy, niż w okresie gospodarki niemieckiej.

Nowy, rozpoczęty okres wymaga od nas rzetelnej pracy i świadomości zadań. Cały świat, zwycięski i przegrany, patrzeć będzie na nas bacznym okiem i rachować na zimno efekty naszych trudów. **Metody pracy morskiej, stosowane przed wojną, muszą na naszym terenie i w odniesieniu do nowych zadań ulec zasadniczej zmianie.** Obok sentymentu do morza, winno znaleźć miesce samozaparcie, uporczywość i konsekwencja w dokonaniu dzieła raz podjętego, w uodpornieniu się na przeciwności dnia codziennego, które nie zawsze opromienia słońce.

Wybrzeże nasze składa się z elementów o różnej przeszłości historycznej, różnej strukturze gospodarczej i etnograficznej. **Naszym zadaniem jest związać je w jednorodną całość, zarówno psychicznie jak i materialnie.** Da się to osiągnąć przez rozbudowę i rozwój komunikacji międzymiastowej, rozwój żeglugi przybrzeżnej dla wzajemnej wymiany towarowej i dóbr kulturalnych.



Port w Helu. Marek Żuławski.

Ludność miast nadmorskich i portowych stanowi element napływowy, przesiedlony tu w większości siłą wojennych wydarzeń. Nie można oczekiwać, że ludzie ci w pierwszej chwili będą w stanie sami stworzyć odpowiedni poziom materialny swojego życia. **Dla ludności na całym Wybrzeżu muszą być stworzone warunki, w których zdolna ona będzie wykonać pozytywną pracę gospodarczą i społeczną.** Należy rozbudować instytucje użyteczności publicznej, szkolnictwa specjalnego, ruchu handlowego międzymiastowego, charakterystycznego rzemiosła i przemysłu lokalnego. Plan odbudowy miast morskich nie może być wynikiem dociekań i zabiegów poszczególnego burmistrza, ale mieścić się musi w ramach ogólnego państwowego planu zagospodarowania Wybrzeża.

Porty morskie stanowią instrument gospodarczy w ręku państwa. Z punktu widzenia gospodarki ogólno-narodowej wskazane jest, aby poszczególne porty były predestynowane do pełnienia specjalnych funkcji. Będą więc porty obsługujące Skandynawię, porty rybackie, porty nastawione na komunikację transoceaniczną, węglowe i inne. W kierunku swojej specjalności będą się one uzbrajały w urządzenia techniczne, przeładunkowe, nabierając swoistego charakteru. Charakter ów nada im niemniej i robotnik portowy i samo miasto, z którego port czerpie siłę roboczą, jako też wszelką pomoc w swej rozbudowie i działalności. Odwrotnie, i miasto nie będzie mogło przyglądać się biernie rozwojowi swego portu, żyjąc wyłącznie życiem własnym. **Stworzenie współżycia, opartego na znajomości znaczenia i gospodarczych możliwości rozwojowych tak miasta jak i portu, musi być podstawą polityki gospodarczej miast morskich.**

Wszystkie miasta w Polsce szukają obecnie źródeł finansowych dla zapewnienia sobie niezależnej egzystencji. Miasta morskie mogłyby je łatwiej znaleźć przez obsługę portu, organizowanie przemysłu przetwórczego i pomocniczego, stosownie do potrzeb rynku zagranicznego, komunikującego się z portem, wreszcie **przez udział w zorganizowaniu i eksploatacji uzdrowisk nadmorskich.** Już najbliższy sezon letni mógłby ściągnąć na Wybrzeże dużą ilość kurac-

juszów, gdyby zdołano zapewnić regularną komunikację i skromne wyżywienie.

Opieka nad uzdrowiskami nadmorskimi i turystyką wiąże się ściśle z koniecznością prowadzenia pracy, zespalającej całe społeczeństwo polskie z morzem, pracy wielkiej, przestawiającej psychikę polską z lądowo-rolnej na przemysłowo-morską. Mieści się w tym programie akcja propagandowo-morska, akcja kursów letnich na Wybrzeżu, współdziałanie z takimi instytucjami jak Instytut Bałtycki, Liga Morska itp., wreszcie troska o rozwój sportu żeglarskiego. **Obok Szwecji jesteśmy dziś na Bałtyku najpoważniejszym partnerem.** Może już w krótkim czasie zawijać będą do naszych portów żeglarze z odległych krajów morskich, będziemy ich przyjmować, rewizytować, będziemy urządzać i brać udział w regatach międzynarodowych, wywalczając dobre imię polskiej banderze.

Realizacja wymienionych zadań jest możliwa jedynie przy wzajemnym porozumieniu tych wszystkich ośrodków, które mają pracę morską na Wybrzeżu prowadzić. Miasta morskie występujące wspólnie mogą łatwiej przełamywać trudności egzystencji i rozwoju, z którymi spotykają się już dziś i nadal spotykać się będą.

Także ścisłego porozumienia wymaga akcja krzewienia wszelkich wartości regionalnych w okręgach nadmorskich.

Na tych przesłankach zrodziła się na Wybrzeżu myśl stworzenia Związku Gospodarczego Miast Morskich. Jego członkami byłyby wszystkie miasta morskie Rzeczypospolitej. Za miasta morskie uważa się również i te, które chociaż leżą bezpośrednio nad morzem, nie posiadają portów (Sopot), jak i te, które, będąc odsunięte od morza, jak Szczecin i Elbląg, niewątpliwie posiadają charakter morski. Pięć miast: Szczecin, Gdynia, Sopot, Gdańsk i Elbląg zawiązało Komitet Organizacyjny i wolę swoją stworzenia Związku Gospodarczego Miast Morskich wyraziło w akcie erekcyjnym. Jego tekst brzmi dosłownie:

Dnia 28 marca 1946 roku, w chwili, gdy zbliża się pierwszą rocznica wyzwolenia i rozszerzenia Wybrzeża Morskiego Polski, gdy Naród po strasznej katastrofie najazdu hitlerowskiego podejmuje olbrzymi wysiłek pracy dla odbudowania i zagospodarowania zdewastowanego kraju, gdy społeczeństwo polskie ujawnia dynamiczną wolę życia i rozwoju, gdy z dnia na dzień rosną potrzeby kulturalne, społeczne i gospodarcze Państwa,

przedstawiciele Miast Morskich Rzeczypospolitej przy współudziale instytucji państwowych, reprezentujących zadania odbudowy Wybrzeża, pragnąc zadokumentować i podkreślić:

że w wyniku wysiłków Rządu Jedności Narodowej Polska staje się na nowo państwem prawdziwie morskim, uzyskującym szeroki dostęp do morza od Szczecina przez Gdynię i Gdańsk aż do Elbląga,

że wszystkie miasta nadmorskie i portowe na całym polskim Wybrzeżu łączy ta sama solidarna myśl, ta sama głęboka troska, ta sama tendencja służenia jak najlepiej, jak najaktywniej potrzebom Państwa i Narodu,

że miasta te mają pełne poczucie wspólnoty zadań i wspólnoty interesów w zakresie odbudowy i zagospodarowania, w zakresie wypełnienia treścią rzetelnej i pokojowej pracy życia zespołów ludzkich w swych miastach,

postanawiają powołać do życia, zgodnie z opinią Prezydium Krajowej Rady Narodowej z dnia 8 marca br., Komitet Organizacyjny Związku Gospodarczego Miast Morskich Polski z siedzibą w mieście Gdańsku.

Do Komitetu Organizacyjnego wchodzą reprezentanci miast: Gdańska, Gdyni, Szczecina, Sopot i Elbląga, oraz przedstawiciele: Komisji Morskiej K. R. N., Departamentu Morskiego Ministerstwa Żeglugi i Handlu Zagranicznego oraz Delegatury Rządu dla Spraw Wybrzeża.

Zadaniem Komitetu Organizacyjnego będzie:

1-o Przygotowanie podstawy prawnej dla działalności Związku Gospodarczego Miast Morskich Polski, na podstawie dyrektyw odpowiednich władz państwowych.

2-o Zaproszenie do współpracy wszystkich miast morskich i portowych Rzeczypospolitej.

3-o Przygotowanie Walnego Zjazdu Związku Gospodarczego Miast Morskich w roku 1946, mianowicie 28 — 30 czerwca, który ma dokonać wyboru władz związkowych z grona zrzeszonych miast zgodnie ze swym statutem oraz ustalić program pracy Z. G. M. M. i metody jego realizacji.

4-o Opracowanie regulaminu pracy dla Prezydium Komitetu Organizacyjnego, łącznie z zatwierdzeniem preliminarza wydatków.

5-o Załatwienie wszystkich spraw bieżących, o ile regulaminowo nie będą one przekazane wybranemu Prezydium Komitetu Organizacyjnego.

6-o Kooptowanie nowych członków Komitetu Organizacyjnego.

Uchwałę powyższą zebrani przedstawiciele miast i instytucji państwowych przyjęli i podpisali.

Gdańsk, dnia 28 marca 1946 r.

Przedstawiciele miasta Gdańska: prezydent Kotus-Jankowski, wiceprezydent Czerny. Przedstawiciele miasta Gdyni: prezydent Zakrzewski, wiceprezydent Modliński. Przedstawiciele miasta Szczecina: prezydent Zaremba. Przedstawiciele miasta Sopotu: prezydent Turek, wiceprezydent Soboń. Przedstawiciele miasta Elbląga: prezydent Skarżyński i prezes Miejskiej Rady Narodowej Dziewierz. Prezes Komisji Morskiej K. R. N. inż. Riedel. Dyrektor Departamentu Morskiego: Wojnar. Delegat Rządu dla Spraw Wybrzeża: inż. Kwiatkowski. Przedstawiciele zaproszonych instytucji państwowych — Instytut Bałtycki: dr Pisarek; Delegatura Rządu: Strzegocki, Piwocki, Szymborski, Bonarek, Mysłowski, Sokół, Bublewski.

Myśl morska weszła w okres realnych kształtów.

Nasze porty Gdańsk i Gdynia, okrutnie zniszczone i zbezczeszczone, pierwsze dźwignęły się z marazmu. Obecnie, po niespełna rocznej pracy, dochodzą do norm życia przedwojennego. Szczecin powoli, ale systematycznie, poczyna wchodzić w nasz organizm administracyjny, Elbląg i małe porty pracują warsztatami, stoczniami, morskim rybołówstwem. Tworzący się obecnie Związek Miast Morskich zapowiada ożywienie zapleczy portowych i utrwalenie podstaw rozwojowych dla samych portów.

Wybrzeże Morskie nabiera charakteru aktywu gospodarczego nowej demokratycznej Polski.

Położone wygodnie między dwiema wielkimi, odwiecznie polskimi rzekami Wisłą i Odrą, czeka na moment, gdy uregulowanym nurtem obu rzek rozpocznie się wymiana towarów i ruch ludzi dla ustokrotnienia wysiłków, włożonych w dzieło odbudowy.

Stanisław Szymborski

JÓZEF STASZEWSKI

ODKRYCIE BAŁTYKU

Nie są to martwe postacie, które tutaj powołamy na świadków. Zrozumiałe będą ich słowa, którymi do nas przemówią poprzez otchłań dwudziestu wieków. Wiele pokoleń stawiało im pytania, otrzymując odpowiedź potrzebną każdemu z tych pokoleń do życia historycznego. Każde z nich rozumowało inaczej, zawsze jednak zgodnie z podszeptem potrzeby dziejowej. Bo historia związana jest z życiem, pracuje dla życia i życie tworzy.

A więc najprzód **Strabo.** Cóż nam z tego przyjdzie, że spytamy dziś tego starogreckiego geografa, co działo się przed dwoma tysiącami lat nad Bałtykiem? Strabo kował myśl Europy i uskrzydlał ją do lotu nad przestrzeniami lądów i oceanu. Dzieło jego geograficzne, wielkie objętością, niezgłębione myślami, do dziś dnia wznosi się nad poziomem wieków. **Dorównał mu Elisée Reclus** w swoich osiemnastu tomach „Nouvelle Géographie Universelle", lecz nikt nie prześcignął. Kto przeczytał jego dzieło o wyższości antropogeograficznej Europy nad Azją i Afryką, lub wywody, w jaki sposób zjawiska ziemskie przenikają historię rodzaju ludzkiego, ten na pewno słów naszych nie weźmie za upiększenie literackie.

Niestety, wiadomości Strabona kończą się na Łabie. W czasach około narodzenia Chrystusa kraje nadbałtyckie leżały — jego zdaniem — na kresach Ekumeny*. Ziemie na wschód od Łaby, „leżące nad oceanem", były mu zupełnie nieznane. Nie miał on wiadomości o kimkolwiek, kto by wyruszył w te strony wzdłuż brzegu, „do wschodnich krajów, sięgających do ujścia morza Kaspijskiego". „Nawet Rzymianie" — pisze ów praojciec geografii — „nie dotarli jeszcze do ziem na wschód od Łaby".

Nie miał też Strabo bliższych wiadomości o ludach nadbałtyckich, skoro pisał wyraźnie: „Nie łatwo jest powiedzieć, jakie ludy (na wschód od Łaby) mieszkają, czy sięgają do oceanu wzdłuż całego wybrzeża, czy też to kraj z powodu zimna lub innej przyczyny, niezaludniony. W równej niepewności jesteśmy, o ile chodzi o ziemie, patrząc stąd (od ujścia Łaby) ku północy".

O Bałtyku, jego wybrzeżu, czy o ludach na tym wybrzeżu mieszkających, Strabo nic jeszcze nie wiedział. Sądził, że otwarty ocean zimnym swoim powiewem ogarnia północno-wschodnią część Europy i że do tego właśnie oceanu prowadzi morze Kaspijskie. Na korzyść Strabona przyznać trzeba, że nic on jednak nie podawał za pewnik.

Dopiero **Vipsanius Agrippa,** powiernik Oktawiana Augusta, w 7-mym roku po narodzeniu Chrystusa wystawił w portyku na forum w Rzymie mapę świata. Był to debiut naszej Wisły. Na mapie znalazła się wtedy nie tylko ta rzeka, **ale i jej nazwa Vistla w tej samej prapolskiej postaci, jaka od dwóch tysięcy lat po dzień dzisiejszy trwa w pamięci pokoleń.**

Rzymianie odległości ziemskie mierzyli kamieniami milowymi. Co zmierzyli, ogarniali władzą: rexerunt imperio. W ten sposób w sanctissimum rzymskiego imperium, w czasach, kiedy Chrystus na świat oczami dziecka pozierał, zabrzmiało pierwsze polskie słowo: — Vistla. Wiemy nawet, kto zmierzył nasze ziemie północne dla wykonania owej mapy. **Poruczono to Theodotowi:** — „A Theodoto septentrionalis pars dimensa est". Theodotos, imię greckie, oznacza to samo co „dany przez Boga". Zaiste, boski to był ów przekaz nazwy Wisły, złożony u kolebki narodu polskiego.

Nazwę Wisły z mapy Vipsaniusa przekazał nam właściwie **Plinius,** oficer rzymski o rzadkiej inteligencji. Wychował się on nad tonią jeziora Como. W kryształe tego jeziora przeglądały się góry Alpy. Kogóż więc tu zdziwi, że Plinius był wnikliwym obserwatorem przyrody? Jakoż w późniejszych wyprawach wojennych nad Ren i nad morze Północne zainteresowany „ludami nadreńskiej Germanii", zostawił nam ich opis, tętniący życiem i prawdą.

Chociaż Plinius nad Wisłą nie był, wymienia ją wśród „sławnych rzek" (clarissima flumina) — wpadających „do oceanu". Wprawdzie i on nie zna jeszcze Bałtyku, jednak podaje ciekawe i dokładne wiadomości o bursztynie — wiadomości, które później podchwycí **Tacyt,** kończąc swój libellus, książeczkę o Germanii.

Tacyt, to najgłębszy dziejopis starożytności — pomyślą tu czytelnicy. Nie przeczę. Dodać jednak muszę, że Tacyt w dworactwie, lub — co najwyżej — w dworowaniu możnym tego świata, zaprawił tragizmem i goryczą swój sąd o biegu dziejów, lecz ani przyrody nie badał, ani też z ludami, które opisywał, wcale się nie stykał. Nie znał on ani Germanii, ani Germanów, to zaś, co o nich napisał, jest albo szablonem, przyjętym w owych czasach dla przedstawienia barbarzyństwa i barbarzyńców, albo wprost ... plagiatem z Pliniusa.

Wiadomości swe, zebrane od dawniejszych pisarzy, Tacyt pomieszał z relacjami, zasłyszanymi od kupców i wojskowych. Nazwawszy prawie wszystkie plemiona Germanii na wschód od Renu — Swewami, zaliczył do nich i Wendów i Aistów, to znaczy Słowian i Litwinów. Wreszcie morze, nad którym mieszkały owe plemiona, nazwał z literacka „mare Suevicum (morze Swewskie), czyli — „Szwabskie", jak później zbyt pochopnie interpretowali to Niemcy. Co się tyczy tego morza, dokonał tylko jednej godziwej poprawki: — nie była to w jego pojęciu odnoga, ale przedłużenie oceanu.

Za tym oceanem, według Tacyta, rumaki prowadziły co noc słońce po widnokręgu z zachodu ku wschodowi. „A mamy pewne wiadomości" — dodaje ów historyk — „że tu kończy się natura". Dla Greka Bałtyk był tylko krańcem ziemi zamieszkanej, dla Rzymianina — końcem świata. **Nie znał więc Tacyt prawdy o kulistości ziemi.**

Kulistą ziemię w środku wszechświata umieścił Grek, **Ptolemaios,** nieomylny nauczyciel astronomii i kosmografii. W podobny sposób, jak nazywał on gwiazdy z imienia, i wyznaczając im miejsca na niebie, zakreślał ich koła, tak samo ziemskie morza, kraje, góry, rzeki,

* **Ekumena,** termin starogrecki, oznacza zamieszkaną część powierzchni ziemi. Np. w pierwszych wiekach chrześcijaństwa odbywały się sobory ekumeniczne, tj. sobory, obesłane przez całą zamieszkaną ziemię.

miasta i ludy znał tylko z nazwy i na odległość wyznaczał ich położenie geograficzne. Dzieło jego „Geographike" jest po prostu rejestrem ośmiu tysięcy nazw geograficznych. To indeks do mapy świata, w którym każde miejsce na ziemi zamieszkanej ma wyznaczoną szerokość i długość geograficzną, rzecz jasna, według południka Aleksandrii.

On też pierwszy, Ptolemaios, wyliczył, że ujście naszej Wisły, Ouistula, jak ją w swojej księdze nazywa, ma szerokość geograficzną 56-ciu stopni. Pomylił się w tym wypadku aleksandryjski astronom, gdyż ujście naszej rzeki umieścił aż o 170 km na północ. Wymienił on także miasta w dorzeczu Wisły, ale w takiej formie, że najbardziej pomysłowy rebusista nie mógłby odtworzyć ich rzeczywistego brzmienia. Jedna tylko nazwa w spisie Ptolomeusza jest niesporna: — Kalissia. Jest to najstarsza z dokumentów pisanych nazwa miasta Kalisza, najstarsze zarazem słowo polskie do dziś dnia zrozumiałe i żywe, mimo przedziału osiemnastu wieków.

Lecz bezsprzecznie jeszcze cenniejsze zasługi położył ów astronom, nazywając Bałtyk morzem Wendyjskim, a więc **słowiańskim:** Ouenedikos kolpos. W tym wypadku nie pomylił się. Wszakże to Wendami od prastarych czasów nazywali (i do dziś nazywają) Germanie swoich sąsiadów — Słowian. Przecież królem Dunów, Wendów i Gotów mieni się dziś jeszcze król duński. Tylko gadzinowi uczeni niemieccy nazwę Ouenedikos kolpos próbowali jakimiś celtyckimi brednami wyjaśnić. Bałtyk, według Ptolemaiosa, oddzielony jest przez Chersones Kimbryjski (Jutlandię) od morza Niemieckiego (Germanikos Okeanos). Słowianie i Germanie mają więc swoje miejsca już w starożytnej Ekumenie. Pogódźcie się już raz z tym, „panowie" Niemcy!

Zanim Bałtyk wszedł pod dzisiejszą swą nazwą do dokumentów pisanych, był on też — morzem Estów. Tak go nazywa **żeglarz Wulfstan** pod koniec IX wieku. Siedem dni i siedem nocy trwała jego podróż z Haethumu (Haithabu) do ujścia Wisły. Przez cały czas tej podróży żeglarz ten **miał po prawej stronie swego statku brzeg, zamieszkany przez Wendów.** Wulfstan, awanturnik anglosaski, nie znał oczywiście nazwy Wendów od Ptolemaiosa. Słyszał ją natomiast na miejscu, **przejął z rzeczywistości,** zapamiętał i w opisie swojej podróży uwiecznił.

W pierwszym dokumencie dziejów Polski z 995-ego roku, poczynającym się od zagadkowych słów „Dagome iudex", występuje Bałtyk jako „mare longum" — morze długie. Ciekawe w dokumencie to, **że zaczyna się on od określenia granic Polski właśnie od morza. Było to wyraźne wskazanie jej dróg rozwojowych na przyszłość.**

W najstarszej kronice Polski, napisanej przez **Galla Anonima,** Bałtyk nazywa się morzem Północnym, albo Amfitrionalnym („mare Septentrionale vel Amphitrionale"). Pierwszy nasz dziejopis ze wszystkich polskich krain geograficznych najczęściej wspominał o Pomorzu. Podszept to zdrowego instynktu narodowego. Już w samej nazwie, wymienionej przez Galla, odzwierciedla się **polski punkt widzenia:** — polskie morze jest dla nas morzem północnym.

Do dokumentów pisanych wprowadził wreszcie Bałtyk pod jego dzisiejszą nazwą około 1070-ego roku magister **Adam Bremensis,** kanonik kościoła w Bremie.

Chociaż sagi wikingów nazywały Bałtyk: Austr - vegr („Droga wschodnia"), jednak uczony kanonik, znawca krajów i dziejów Skandynawii, geograf z instynktu i sposobu myślenia, nie dał się niczym wywieść w pole. Trzeźwo spojrzał na mapę bałtyckiego wybrzeża. Słowian znał, jak ich kraje, bo z nimi osobiście w życiu się stykał. Zawdzięczamy mu stąd następujący opis:

„Przy ujściu morza, na brzegu południowym, naprzeciw nas mieszkają Duńczycy. Potem zaczyna się granica hamburskiej parochii, która ciągnie się długim szlakiem przez nadmorskie plemiona Słowian aż do rzeki Piany. Odtąd mają siedziby Wilcy i Lutycze aż do rzeki Odry. Z tamtej strony Odry, jak nam opowiedziano, zaczyna się bardzo obszerna ziemia Polan" („latissima Polanorum terra").

U magistra Adama nie ma dla Niemców miejsca nad Bałtykiem. Jakże mógł nazywać germańskim imieniem morze, nad którym jeszcze długo po jego śmierci sąsiadowali Słowianie z parochią hamburską.

Lecz posłuchajmy w dalszym ciągu, co mówi ów mistrz, któręgo wszyscy, nie wyłączając Niemców, uważają za największego geografa średnich wieków:

„Morze owe nazywają mieszkańcy Bałtyckim, dlatego, że jak balteus (wyraz ten łaciński znaczy: pas) **długim traktem przez ziemie scytyjskie prowadzi do Grecji."**

Nie zajmuje nas w tej chwili ta naiwna etymologia. Interesujące tu natomiast: jacy to mieszkańcy nazywali morze swoje Bałtyckim? Czy Duńczycy — od cieśnin Bełtów? Chyba nie, bo dla nich Bałtyk był: Austr-vegr. Czy plemiona litewskie, które do dziś rozumieją **Baltijas jura, jako morze Białe?** Warto tu przytoczyć raczej opinię najmniej chyba w danym wypadku podejrzaną o stronniczość. Oto niemiecki tłumacz cennej kroniki magistra Adama w wydaniu z 1926-go roku, wyjaśniając słowo **balteus** swoim czytelnikom, twierdzi na str. 214-ej wyraźnie, że nazwę **„Balticum"** „należy raczej wywodzić od słowiańskiego **balta: — błoto".** Świadectwa tego na pewno o stronniczość nikt nie będzie podejrzewał. Czy jest ono prawdziwe? Prawdopodobne, w każdym razie!

Stanąwszy dziś na najwyższym szczeblu perspektywy dziejowej, musimy zaznaczyć, że **od chwili pierwszego pojawienia się nazwy Wisły, poprzez „Ouenedikos kolpos" Ptolemaiosa, aż do „sinus Balticus" magistra Adama, południowy Bałtyk jest niezmiennie słowiański.** Takim winniśmy go dziś widzieć i na przyszłość — zachować.

Józef Staszewski

WŁADYSŁAW KOWALENKO

Bałtyccy Słowianie w średniowieczu



Drzeworyt Stanisława Kolicza (Gdynia)

Żyjemy w czasach wielkich wydarzeń. Polska państwowość stoi wobec niebywałych w swych dziejach zadań i przemian. Jesteśmy świadkami gwałtownego przesunięcia granic Polski na Zachód, jako wyniku nieuniknionego zwycięstwa nad Niemcami. Powrotna fala polskości dociera do Odry i Nisy.

Trwający przez długie stulecia napór niemiecki na ziemie zachodnich Słowian w formie gospodarczego osadnictwa, bądź też ekspansji politycznej, nieustannie uszczuplał ich stan posiadania nad Łabą, Odrą i Wartą. Książętom i cesarzom Niemiec przyświecał jeden cel: **zdobycie wybrzeży Bałtyku, do których nie mieli dostępu nawet sąsiedni Obodrytom Sasi, zajmujący lewy brzeg dolnej Łaby.** Wiele luźnych plemion słowiańskich zwłaszcza zaś państwa Obodrytów i Lutyków, oddzielały Niemców od Bałtyku. **Na północy, zamykali Niemcom wyjście na Bałtyk Duńczycy, panujący nad cieśniną Sundską i obu Bełtami.**

Rozległe wybrzeże słowiańskie nęciło Niemców swoim bogactwem, obfitością portów i możliwościami handlu morskiego, w którym nie mogli brać udziału. **Obecny Szlezwig i Meklemburgia w okresie od VIII-go do XII-go wieku były jednolitym obszarem słowiańskiego osadnictwa,** na którym koncentrował się wówczas handel morski zachodnich Słowian z Duńczykami, Szwedami i Rusią Nowogrodzką.

Na półwyspie jutlandzkim graniczyły ze sobą bezpośrednio trzy grupy etniczne: słowiańska, saska i duńska. Zachodnie wybrzeże tego półwyspu gęsto zaludniali słowiańscy Wagrowie i Obodryci. Ukształtowanie linii brzegowej oraz sąsiedztwo z wikingami duńskimi i szwedzkimi sprzyjały rozwojowi żeglugi. Na odcinku wagryjskim znajdował się w VIII-ym wieku słynny z handlu **port Rerig,** będący końcowym punktem handlowego szlaku frankońsko - obodryckiego. Niemieckie badania w 1938-39 r. na podstawie zabytków wymownie stwierdzają jego rolę handlową w wymianie między basenem morza Północnego i Bałtyckiego przy udziale elementu słowiańskiego. Port ten został zdobyty i zburzony w 808-ym roku przez króla duńskiego, Godfryda, mieszkańcy zaś jego, kupcy i rzemieślnicy, przesiedleni nad zalew szlezwigski. W ten sposób powstało **nowe duńskie miasto o podłożu słowiańskim pod nazwą Haithabu.**

Istotny sens tej zmiany tłumaczyć należy przede wszystkim dążeniem króla Godfryda do przerzucenia handlu frankońskiego z wybrzeża obodryckiego na duńskie do wspomnianego wyżej, nowozałożonego portu. Pierwotna jego nazwa Haithabu utrzymała się przez dwa wieki. Gdy w XI stuleciu gród ten portowy zniszczyli Słowianie, jego miejsce w handlu morskim przejął **Szlezwig,** położony na przeciwległym brzegu zalewu.

Drugim ważnym punktem rozległego handlu bałtyckich Słowian był **Wołyń,** na wyspie o tej samej nazwie, w zatoce odrzańskiej. Według danych kronikarskich z XI-go stulecia oba te porty utrzymywały stale stosunki handlowe. Wysyłały też swoje towary aż do Nowogrodu ruskiego. Taka podróż morska na ciężkich towarowych żaglowcach z Haithabu trwała 31, z Wołynia zaś 14-cie dni.

Niemniej ważny był handel z miastami szwedzkimi. Współczesna **Birka** w okolicach Sztokholmu i **Konghela** pod Göteborgiem znakomicie uzupełniały obroty handlu słowiańskiego. Obroty te wskazują, że na zachodnich, wschodnich i południowych wybrzeżach Bałtyku poziom kultury słowiańskiej już w X-ym wieku wyszedł z okresu samowystarczalności wiejskiej.

W innych słowiańskich portach: Starogardzie, Lubece, Szczecinie, Wołogoszczy, Strzałowie, Dyminie, Kamieniu, Kołobrzegu i Gdańsku zbiegały się główne linie ówczesnego transportu morskiego północnej Europy.

Handel międzynarodowy na Bałtyku stawał się podstawą życia słowiańskich ludów. Stopień produkcji wymagał różnorodnej wymiany między jej odległymi ośrodkami. Ich specjalizacja gospodarcza nie ulega wątpliwości. W przeciwnym razie, rozległy handel słowiański nie mógłby wszakże istnieć i rozwijać się nieustannie w wielkich ośrodkach portowych przez cztery stulecia, od IX-ego do XII-go wieku.

Przez Wołyń odrzański, posiadający własną latarnię morską z ogniem greckim, szły polskie produkty rolniczo - leśne: płótno, zboże, miód, futra, wosk itd. Przywożono natomiast broń skandynawską i ozdoby. **Haithabu** predestynowany był do handlu nie tylko z Północą, ale i z Zachodem, gdyż zaledwie 18 klm. lądowej drogi oddzielało go od morza Północnego. **Do portów słowiańskich, Lubeki, czy Starogardu,** dostarczano nadreńskie wino, ozdoby, ceramikę. Również i monety saskie, frankońskie i angielskie świadczą o ożywionym handlu z Zachodem. Równocześnie i ze Wschodu, z Persji i Arabii, szlakiem nadwołżańskim docierały nad zachodnie i południowe brzegi Bałtyku jedwabie, futra, kadzidła i różnorodne ozdoby — wszystko to wzamian za niewolników, bursztyn i inne towary. Wymiana handlowa ze Wschodem miała również i charakter pieniężny. Monety arabskie nie są wszakże rzadkością wśród słowiańskich zabytków portowych.

Reasumując, trzeba zaznaczyć, iż żegluga Słowian stanowiła w ogólności poważną pozycję nie tylko w stosunkach gospodarczych Europy północnej, ale również i Azji zachodniej. Dodać tu trzeba, że porty bałtyckie były najbardziej ruchliwymi punktami handlu tranzytowego Wschodu z Zachodem i Południa z Północą.

Cesarze rzymscy narodu niemieckiego doskonale rozumieli wartość gospodarczą miast portowych zachodniej Słowiańszczyzny. Nie mieli oni floty morskiej. Zanim Hamburg, Brema, Brunświk i Goslar doszły do znaczenia, jako ośrodki handlu, już porty słowiańskie słynęły od dawna z tętna życia handlowego. W XI-ym i XII-ym wieku pokojowy ich rozwój stawał się coraz trudniejszy. W związku z podbojami Sasów zaplecze lądowe Słowian zaczęło się kurczyć. Zubożało też znacznie. Handel morski w XII-ym wieku wyraźnie przeżywał kryzys. Toteż dla zagrożonej Słowiańszczyzny zachodniej, pozbawionej ziemi, morze stało się terenem korsarskiej działalności.

Częste odtąd napady Słowian na Danię i Szwecję przerażają współczesnych kronikarzy. Wprawdzie Szwedzi i Duńczycy zwalczają ich bezwzględnie, ale skutecznie obronić się nie mogą. Ich napady odbywają się z siłą i impetem, przypominając żywo wyprawy wikingów.

Wówczas to królowie duńscy — podobnie jak Karol Wielki w obronie przed Normanami — organizują pogotowie wojenne przeciw Słowianom. W cieśninach duńskich budują fortece, tworzą organizacje z dziesiątkami i setkami okrętów, z tysięcznymi załogami. Chociaż Dania od stuleci była doskonale zaprawiona w walkach na morzu, mimo to jednak w wielu wypadkach zawodziły jej środki obronne.

Napady Słowian wywołały z konieczności podwojenie wyporności duńskich okrętów wojennych. Nowy typ okrętu bojowego Duńczyków, używany w walce z wyspiarzami słowiańskimi na Ranie (Rugii) w XII-ym wieku, miał pojemność do 60 ton. Przewożono na nim osiemdziesięciu ludzi i cztery konie.

Zagrożeni w swych podstawach życiowych na lądzie, wybrzeżu i wyspach, najprzód przez Sasów, z kolei zaś przez Duńczyków, **Słowianie dla ratowania swego bytu — wyszli na morze.** Na nim czuli się bezpieczniej, niż na lądzie. Tu ich Sasi dosięgnąć nie mogli. Wszakże nie mieli na Bałtyku żadnej floty. Pogromca Słowian, Henryk Lew, był na morzu bezradny. Ale — jak wiemy — wyręczał się on flotą duńską, współdziałającą z jego wyprawami lądowymi.

W słynnej, niefortunnej krucjacie na Słowian w 1147-ym roku — Dania ponosi klęskę na morzu. Od tej chwili flota Ranów niepodzielnie panuje na Bałtyku. W dalszej walce morskiej Słowianie atakują brzegi duńskie, niszczą miasta szwedzkie. Zagrożeni śmiertelnie na lądzie, przenoszą w ciągu XII-go stulecia w ten sposób grozę wojny i zniszczenie — na morze.

Ten bohaterski okres upadających Słowian kontrastuje wyraźnie z ich poprzednią pokojową działalnością na morzu. Przyczyniają się do tego fakty: — z wzrastającą zaciętością przebijają się Niemcy przez Łabę ku Bałtykowi, łamiąc opór Słowian zachodnich na lądzie. Za Albrechta Niedźwiedzia i Henryka Lwa padają nadmorskie państwa słowiańskie. W obręb saskiego księstwa i jego władzy wchodzi w kolejności: monarchia obodrycka i republika lutycka, śródlądowa zaś kraina Sto-

doran z Braniborzem zamienia się w marchię brandenburską.

Panowanie polityczne Sasów na ziemiach słowiańskich wymagało wzmożenia elementu niemieckiego. Zaczyna się więc kilkuwiekowy proces systematycznej kolonizacji niemieckiej. Ulegają jej przede wszystkim krainy słowiańskie najbardziej na zachód wysunięte — ziemie Wagrów, Połabów, właściwych Obodrytów i innych plemion. Osadnicy niemieccy zabierają najurodzajniejsze ich ziemie. Uciskają niedawnych władarzy kraju ciężkimi daninami, upośledzają ich ograniczeniami prawnymi. Tępią w ten sposób ludność słowiańską, na spustoszone zaś obszary sprowadzają element własny — coraz liczniejszych kolonistów, do których należy wszystko, co jest w kraju najlepszego. I taki np. hrabia Adolf Holsztyński zapewnia im mocną pozycję w zdobytej ziemi Wagrów w okolicy Lubeki, wiekowej przedtem stolicy książąt obodryckich.

Opanowanie lądu słowiańskiego zbliżyło w końcu Niemców do z dawna przez nich upragnionego wybrzeża bałtyckiego. Nie tylko największy na nim port lubecki przechodzi w ręce niemieckie i zaludnia się kolonistami. Niemczą się powoli również i inne porty.

Zdobycie i zniemczenie Lubeki miało dla niemieckiego handlu niezwykłe znaczenie. Jeden z niemieckich badaczy z całą naiwną szczerością napisał w 1941-ym roku, że Lubeka stała się najcenniejszym nabytkiem dla handlu niemieckiego; że przedtem Niemcy zjawiali się tu jedynie na obcych statkach — jako goście; że posiedli w Lubece nie tylko port, ale i okręty, zdobyte na Słowianach; że wskutek tego otwarło się przed nimi rozległe pole działania na Bałtyku. — „Lubeka znaczyła dla nas więcej niż jedno nowe miasto" — stwierdza — „więcej, niż jeden nowy ośrodek handlowy. Była wprost **samym morzem Bałtyckim**, wytęskniona bramą, prowadzącą w na wpół zamknięty dotąd świat".

W końcu XII-ego stulecia (za Henryka Lwa) stworzyła Lubeka w istocie podstawę dla działalności niemieckiej na Bałtyku. **Czterowiekowy, słowiański dorobek na morzu staje się łupem Niemców.** Posługują się oni przez długi czas flotą zwyciężonych, ich portami, nawet używają Słowian jako doświadczonych marynarzy na statkach handlowych i okrętach wojennych. **Klęska plemion słowiańskich wzbogaciła od razu zdobywców, stworzyła podstawy dla ich żeglugi na Bałtyku.**

Wprawdzie książęta pomorscy reprezentują dawne dynastie, jednak tracą zupełnie swoje znaczenie polityczne. Uznają przewagę książąt, hrabiów oraz ponierników saskich i brandenburskich, osadzonych w zdobytych grodach: Zwierzynie (Schwerin), Wieligradzie (Mecklenburg), Raciborzu (Raceburg), Starogardzie (Altenburg) itd. Zubożeni dynastowie powoli niemczeją przez związki małżeńskie i wpływ niemieckiego kleru. Pozostają oni tylko właścicielami dóbr ziemskich, wrastając z czasem w warstwę rycerstwa niemieckiego, o czym ich potomkowie przez długie pokolenia wspominać będą.

Ląd, wybrzeże i morze bałtyckich Słowian w XIII-ym wieku należą już do Niemców. Oni to firmują polityczną stronę życia od Łaby do Odry, **ale przenigdy nie mogą zmienić treści etnicznej tego rozległego obszaru, gdzie w dalszym ciągu zwartymi grupami mieszka ludność słowiańska.** Kolonizują zaledwie nieznaczną część ich ziem, intensywniej natomiast rozniemczają się na wybrzeżu bałtyckim, przy ujściach wszystkich rzek: Odry, Wisły, Niemna, Dźwiny, sięgając w końcu nawet do Narwy.

Ich drapieżność stała się przysłowiowa. Wszakże Niemcy usunęli nawet Duńczyków ze wschodniej części Bałtyku, chociaż byli oni ich sprzymierzeńcami w walce przeciwko Słowianom.

Władysław Kowalenko

FRANCISZEK FENIKOWSKI

Nad Odrą

Na Zachód zwartą ławą poszły nasze czołgi
w tumanach pyłu szos i stalą dróg przebłysły,
szare wojska kolumny ciągną się od Wołgi,
drżą pontony na Warcie, dudnią mosty Wisły.

A w dali ona — ziemia wierna i milcząca,
zalękniona, stęskniona do słowiańskiej sochy,
czeka jak wciąż czekała nas od lat tysiąca
i na świadectwo prawdzie gromadziła prochy.

Dziś krew nasza na nowo chrzci Szczecin, Koszalin,
prochami polskich mogił przemawia kraj niemy,
ciała naszych poległych to głazy podwalin,
na których twórcze JUTRO murować będziemy!

Jutro polski chłop zbierze ziemi tej plon szczodry,
jutro język nasz będzie brzmiał tu w każdym mieście.
Stoimy zasłuchani w plusk granicznej Odry...
— Słyszycie? Odra szepce po polsku: „Nareszcie!"

ANTONI GOŁUBIEW

DECYZJA*)

W migotliwej poświacie płomienia Bolko w milczeniu słuchał monotonnego głosu Czcibora i równego szumu morza. Dom Czcibora nie przypominał słowiańskiego dworzyszcza — stawiany był na wzór normański. Miast sieni, miał ogromną izbicę, jąż zwano tu hallą. Ściany, wybite skórami, pełne broni. Dla Czcibora podwyższenie drewniane od zachodniej strony, na podwyższeniu nasłano kobierców. W środku trzy paleniska, ogromne, na wielkie smoliste kłody; teraz paliło się jedno.

W migotliwej poświacie płomienia Czcibor gadał nie wiadomo — do Bolka? do migocącego płomienia? do siebie?

— Tak ono zawdy. Szumi. Dzień i noc. Przedtem i mnie był dziw, ninie już nie słyszę. A jakem tu przyjechał, kiedy ojciec twój oddał mi Pomorze we władanie, nie mogłem strzymać. Ten szum, wiesz? Legniesz nocą, ni tobie do snu, ni do dziewki. Słuchasz. Ot, gada cościk, wiatr szumi i ono szumi. Nie mogłem strzymać, w on czas był to kraj obcy; ninie już nie to, ninie mi nie ckni się bez Pomorza. Choćby, jakem do cię przyjeżdżał, do Poznania, wiera, ckniło się. A z początku: idziesz brzegiem, słońce, piasek, babie żebro drze za nogi, sosny pochylone pod wiatrem, mewy wrzeszczą, a wełny idą, idą, biją, a biją, rozpłaskują się, cięgiem jednako, jednako... Nudno. Tęsknica pod gardło podchodzi: Wróciłby k'swoim. Ninie nie to, nie to.

Tak było, kiedy i Bolko ujrzał je — ono morze — raz pierwszy. Już zdala, w boru, usłyszeli szum. Chmury zawaliły niebo, morze było czarne, złe. Ciemne wały warczały w biegu, przewalały się białą pianą. Jechali brzegiem po ubitym piasku, woda raz wraz zalewała koniom kopyta. Konie były niespokojne, strachały się. Milczeli — ni gadek, ni pieśni. Ozierali się wokół — niepewni, czekali nowej bitki, bali się zasadzki, nie wiedzieli, jak walczyć tutaj — u tego morza. Spotykali osady rybackie — nędzne klecie. Śmierdziało rybą, zgniliźną, wodą — morzem. Pękate czarne łodzie, wyciągnięte daleko na brzeg, uwiązane do pali, niby głębinowe potwory; brunatne sieci, rozwieszone na tykach; chłopy ponure, milkliwe, swojacką mową gwarzące, a ledwo się z nimi rozmówisz. Przechodzili przez te wsi cicho, bez zwykłego rabunku, byle prędzej, byle do Kołobrzegu. Nachmurzone oczy patrzyły za nimi ze złością, usta były zacięte, a fale wciąż biły o brzeg.

Obrzydzenie ogarniało wojów na ten szum, na kraj, na ludzi. Obrzydzenie i wnętrzny niepokój. W końcu stanęli u kraszonych wrót Kołobrzegu, odetchnęli: teraz będzie bitka. Nareszcie. Ozierali gród — mocny, przysadzisty, pękaty — oczyma rwali już go, rozbijali, łamali. Nic z tego. Z bramy wyszedł Czcibor z zieloną gałęzią w jednej ręce, czaszą w drugiej — roześmiany, gadający, dobroduszny. Nie przestraszył się ponurego wzroku Bolka, nie bał się zdrady. Powitał bratańca, jak pana, jak gospodzina. Bolko miękł, ale nie ufał.

— Będzie ze trzy dni, jakem rozbił twych wojów, ci napadli na mnie, konia mi ubili.

— Napadli? Na cię? Przykazałem wszystkim cicho siedzieć. Wyłapię ich, tobie oddam.

Bolko roześmiał się.

— Wielu ubiłem, inszych połapałem po krzakach.

— To im głowy utnij.

— Abo to mi nie trza ludzi. Ninie groblę przez Noteć wiodą.

Czcibor dłońmi uderzył po udach.

— Groblę wiodą? Przez Noteć? Dobrze to, droga będzie. A dotąd kraj ten odcięty był od świata puszczą i błotem.

Bolko spojrzał na stryjca z podziwem, z niepokojem: niepokój jego rósł, gdyż nieufność ścięła.

— A konia tobie dam, takiego źrebca i u Niemców nie uwidzisz.

Czcibor stał w półkolu wojów, dyszących złością za napad i za poprzednie namawianie na rzecz Ody. (Nienawidzili oni Ody, jak moru, mimo, żeć przecie wielu z nich niedawno gotowych było bić się za nią z Bolesławem). Stał spokojny, gruby, śmiejący się całą gębą.

— Pij ze mną, Bolko — wypił połowę i podał czaszę.

Bolesław zawahał się, spojrzał w twarz stryja i — wypił duszkiem.

— Piję z wami, stryju Czciborze — rzekł uroczyście. Śpieszyło mu się do Jomsborczyków. — Myślę, że mi zatrutego miodu nie podasz, jak Oda i Hugo.

— Chciałem cię ostrzec, pomnisz, w ów dzień, pode grodem. Nie słuchałeś! — Bolesław przypomniał i raptem objął Czcibora za szyję. Tamten sapał.

— Chodźże do grodu. Na ucztę, ale bez jadu. Chodźże. Stojgniew już w grodzie.

— Ujednaliście go? Jak?

— Jak i ciebie — wziął Bolesława pod ramię, powiódł ku rozwartym wrotom. Zagrały rogi.

Odtąd płynęły dni a dni. Bolko chodził po brzegu, patrzył na niepojęte morze, siadywał w halli, słuchał szumu, słuchał gadek Czcibora, i tak w koło. Woje patrzyli nań z zadziwieniem — na co czeka? Czcibor powtarzał w kółko:

— Bez łodzi nie weźmiesz Jomsborgu. Posłałem wszędy gońców. Tu mam dwanaście łodzi, w Kamieniu osiemnaście, w Gdańsku piętnaście, w Chabrowie i Słupsku po siedem, w Sławnie trzy. Tego mało będzie na Jomsborg, weźmiem od rybaków. Trza je zwlec tutaj, masz czas.

Bolko brwi marszczył, niecierpliwił się. Czcibor śmiał się:

— Nie możesz usnąć spokojnie, to ci białkę przyślę.

Bratanie przeciągał się.

— Nie chcę.

— Nie chcesz? Abo cię nie znam. Mówię: białki ci brak.

— Ostawiłem doma Emnildę.

Czcibor ryczał.

— Jakiemu chłopu jedna białka starczy? Ociec twój w twoich leciech gorący był, a rżał, kiej źrebiec. Dopiero mać twoja zniewoliła go wszystkie dziewki wypędzić precz. Twarda białka twoja mać była! — Czcibor zdumiał się, ongiś nie lubił Dobrawy, ale wolałby z Dobrawą gadać niźli z Odą. — Ociec twój nie zrazu je napędził, dopiero jakeś ty się zrodził. Wszystkie Lestkowice białki lubili. A ot i ja...

Powiódł okiem po halli, prostej, jednym ogniskiem niedoświetlonej.

* Fragment powieści p. t. „Bolesław Chrobry".



Ratusz gdański odznaczał się piękną architekturą

(Motyw ze zbiorów poniemieckich)

OR — OT
(Artur Oppman)

Pieśń o Morzu Polskim

...Dziś żołnierz, co do ciebie pątował od wieka,
Co jeszcze z bitew świeżych świeżą krwią ocieka,
Tę krew obmyje w tobie i tym ze krwi chrzestem
Powie ci: „Jestem!", a ty — zaszumisz mu: „Jestem!"
I gdy nasze chorągwie w wodach twych zanurzy,
Gdy się fala Bałtyku ich płomieniem wzburzy,
Gdy polskich armat strzały, jak Veni Creator,
Zahuczą temu Bogu, co rozwalił zator
Niewoli, gdy ostatnie ogniwo jej szcześnie, —
Zagrzmią dzwony w Warszawie...
a ich pieśń rozbryzną
Wichry szału radości nad całą ojczyzną,
Że ty znów jesteś nasze!

Morze! twój skrzydlaty
Wiatr niechaj nas poniesie na światy! na światy!
Niech tchem olbrzymów piersi wypełni po brzegi!
Niech da nam pod gwiazdami, na morzu, noclegi
Pełne Boga, niech dni nam da twarde i znojne,
Abyśmy, o Bałtyku! wygrali tę wojnę,
Którą bojują ludy o wieki spokojne!...

Grzmij, morze! bij o brzegi! rwij podłe okowy!
Ciskaj na złote piaski białej piany kwiatem!
Gdy zechcesz: z twego łona świat wytryśnie nowy,
A my — znów będziem strażą nad tym dobrym światem!

— Bacz, jak tu spać samemu? Małżona stara, ninie w Gdańsku siedzi, przed Jezu Krystem się modli, a krzyż całuje. A tu widzisz: szeroko, pusto, ciemno. Morze nocami wyje. W wieczerz woje wyjdą, ławy opustoszeją, ogień przygaśnie: jak tu iść do pustego łoża. Słysz: dwie mam. Jedną, Eryk swijski, twój swak mi przysłał, owąż od Weletów ze świętego grodu Retry porwał; jak kocica, raz słodka, raz parska, zębami by chwyciła; dopieroć jak ją plasnę raz drugi po tyłku, cichnie, ulega. Druga, pomorska córka, ochotna, mała, wesoła. Kiej dla mnie zrodzona.

Bolko nie słuchał monotonnego głosu, słuchał szumu zza ścian.

— Co gadasz: jedna białka! A jakże twój sąsiad kijowski, Włodzimierz, miał on pięć, a papaszeli [1]) bez liku: trzy sta w Wyszogrodzie, trzy sta w Białogrodzie, dwie ście w Brzostowie, a w Kijowie, a w Nowogrodzie? To ci chłop był, co tam ja: — dwie je mam, kiej oczu, a żona stara. Chcesz, przyślę ci dziewkę.

— Nie chcę.

Rankami chodził po pustym brzegu, sam — albo ze Stojgniewem. Milczeli, jakoś nie było o czym gadać. Zamyślił na morze popłynąć — z rybakami; ryby tam żyły cudaczne, w kraju takich nie uwidzisz. Kiepsko wypadła ta jazda — leżał całą noc na dziobie łodzi, głową na zewnątrz. Rzygał. Kiedy zrzucił wieczerzę, blwał [2]) żółcią. W gębie było gorzko, huśtanie wyciągnęło mu wszystkie wnętrzności, chciał godnie siedzieć, nie mógł. Rybacy prześmiewali się z cicha. Wyszedłszy rankiem na brzeg zatoczył się dokusztykał do gospody, zwalił się na posłanie, spał cały dzień.

Wieczorem przy uczcie normańskiego skalda słuchał. Nie podobał mu się ten śpiew: — pieśni mało, w gęśle skald ledwie czasem uderzy. Słowa niezrozumiałe — doma miał lepszych pieśniarzy. Woję ziewali całą gębą, dopiero miód, a wiśniak, wzbudziły zwykły gwar wojacki. Potem znowu zostali sami z Czciborem. Polubił te puste wieczory, puste dukanie stryja, pusty szum za ścianami. Miód mu szumiał w głowie. Gadali o normanach.

— O Olafie synu Trygwy już dziś pieśniarze bają, jenż najsławniejszy jest woj na morzach!

Wzrok Czcibora wybiegał daleko, za ściany halli, za częstokół grodu.

— Siewca postrachu w kraju Swijów, a Dąnów, a Prusów, a Anglów, a Franków. Słyszałeś o Olafie, synu Trygwy?

— Słyszałem — odpowiedział leniwie Bolesław. — Ale gadajcie.

— Ojca ji, Trygwę, własny lud ubił. Srogi konung [3]) był Trygwa. Mać uszła z tyli synalkiem do Swijów. Ale i u Swijów życia była niepewna. Tedy do krewniaka uciekła na Ruś. Nie dojechali do waręgów, napadli na nich w drodze Esty, w jeństwo wzięli. Lata szły, nim go wuj-waręg wykupił. Tam rósł, mieczem robił, na wyprawy chodził. Drużynę własną skrzyknął, ciągnęło go na morze, do łodzi. Po całym naszym brzegu rozbijał, a rabował. A drugi taki był Swejn, jenż od Danów przez Haralda został wygnany. We dwu do Anglii pływali, który to kraj bogaty na wyspie leży; tam wielkie dobyli bogactwa. A wszystko na morzu, na wodzie. W dzień słońce ich wiedzie, nocą gwiazdy. Boć morze to jest droga odkryta, wszędy nią zajdziesz — morzem a rzekami. Kaj to Normanów nie ma!

Doleli kubków, wypili, Bolko czuł, że mu tęsknica po kościach chodzi. Ciasno mu w halli stryjowej, nudno. Może prawie gada Czcibor, że mu białki brak. Przymknąwszy oczy, słuchał dziejów białowłosego Olafa.

— Prawią, że jest prawie dzielny ksiądz, wolny woj onże Olaf. Po górach skacze, kiej koza. Oszczep weń rzuć, on ci w locie go ułowi i wraz cię tym oszczepem przebiję. W pancerzu po morzu pływa, za łodzią po końcach wioseł nad wodą biega, trzy noże podrzucając w górę i łapiąc jeden po drugim. A mocny, a bystrooki. Walny woj!

Bolesław przeciągnął ramiona: zapewne białki mu brak. Czcibor dukał:

— W Nordwegu panuje ninie Hakon, stary grzyb, srogi, a sprośny. Łby ścina o byle co, żony wojom odejmuje, córki porywa, żeby spać z nimi. Wielki hyr idzie po całej ziemi w onym Nordwegu. Posłyszał o Hakonie Olaf, zgniewał się i krzyczy do drużyny: „Odbierzem moje dziedzictwo, ziemię Trygwy, ubijem Hakona!" Drużyna w krzyk i do łodzi. Nie dopłynęli do Nordwegu, dopłynęli jeno do Jomsborgu. Tu...

Czcibor urwał, rzucił szybkie ukośne spojrzenie na bratańca: — siedział senny. Nie poznasz, że miota nim niepokój, dziwny, mdły, łaskotliwy.

— Powiadajcie — mruknął sennym głosem Bolesław.

— W Jomsborgu mieli w on czas jarla obierać. Jarlem Sigwald chciał ostać, takoż prawy wiking dziki, a mężny. Olaf przypłynął z drużyną, trzy dni, trzy noce drużyna stała pod ostrokołem, Olafa puścili do środka. Pry [4]) im: „Obierzcie mnie jarlem, drużynę wam swoją do bractwa dam, nikt nas nie zmoże, łupu nie zbraknie". Sigwald skoczy na wał, nuże krzyczeć, że Olaf obcy, że Jezu Krysta uznaje.

— Uznaje? — Bolko podniósł na stryja zdziwione wejrzenie.

Czcibor sam zdał się pełen zdziwienia:

— Słysz, bają, że śmiał się z bogów, że im groził, że Tora na młoty wyzywał. Aż raz ujrzał kajś na szczycie [5]) wizerunek Jezu Krysta. Kto by to był? — spytał. Powiedzieli mu. Zaśmiał się, ale szczyt od kupców kupił. Jakoś na wyprawę poszedł, rozbili go, musiał uchodzić. Wezwał Jezu Krysta w pomoc. I wiesz-li? Oślepli ścigający, a Olaf, syn Trygwy — uszedł pogoni. Odtąd krzyż na łańcuchu nosi i jawnie go czci.

— Sigwald za krzyż go wyzwał?

— Wyzwał. Ale Olaf zaklął się, że krzyża Jomsborgowi nie narzuci. Bają, nie strzymał klątwy, poniektórych przeciągnął, ale niewielu. A z Sigwaldem się gryzą, jak psy. Sigwald ma swoich druhów, Olaf swoich i... drużynę. Wielka nieprzyjaźń trwa między nimi. Nie pójdzie Olafowi — jeszcze się pogryzą.

Bolesław poderwał się nagle, zakręcił się po halli:

— Stryju — zaczął i zaciął się. — Stryju, prawiliście mi... Zaciął się znów, ścichł, usiadł. Czcibor się roześmiał.

— A widzisz — rzekł. Poczem zaczął bajać innym tonem, a oczy miał krotochwilne:

— Z Nordwegu dziewkę jedną mam, pokazać ci?

Bolesław mruknął zniechęcony.

— Co mi tam.

— Nie chcesz?

Stryj nie spuszczał rozśmieszonego wzroku z bratańca, aż nagle zaczął wrzeszczeć na cały dom:

— Gunhilda, hu! Gunhilda, ej!

Odtąd służyła im wieczorami dziewka z Nordwegu, Była twarda, jak orzech, szybka, oczy miała błękitne, biegające, wesołe. Bardzo udała się Bolkowi. Mówiła rzadko, bo Bolko jej nie rozumiał, ale głos miała miły, niski, matowy. Czcibora bawiło okropnie, że Bolko wodził za nią oczyma, lecz o nic stryja nie prosił.

Któregoś wieczora Gunhilda się nie zjawiła. Bolko był taki zły, że nie mógł znieść Czciborowego gadania. Powiedział zniecierpliwiony:

— Rankiem ruszę na Jomsborg.

A Czcibor swoje:

— Czekaj. Jomsborgu bez łodzi nie weźmiesz.

A po chwili:

— Białki chcesz.

— Nie chcę.

Wchodząc tej nocy do swej gospody, usłyszał w ciemności ruch. Cicho wyjął mizerykordię.

— Kto tu?

Usłyszał miły, matowy głos:

— Gunhilda.

Nie napędził jej.

* * *

Morze szumiało za ścianami. Szły noce i dni. Woje dziwili się, niecierpliwili. Nazywało się to, że czekają na łodzie.

Bolka wciąż dławiło we wnętrzu.

* * *

Obudził się — zza okna kapała szarzyzna. Było duszno. Bolesław wstał, popatrzył chwilę na Gunhildę. Spała na wznak, tylko głowę przechyliła na ramię; oddychała otwartymi ustami, okrągłymi, jak u ryby. Wolnym krokiem podszedł do okna, wysadził głowę na chłód. Przed nim było ono...

Morze.

Grzywacze szły do brzegu jak rozpędzone ławy wojów na bitkę. Szumiały. Niebo ledwo szarzało pokryte chmurami. Pachniało wilgocią, zimnem, dalą.

Chociaż miał białkę, niepokój trząsł Bolesławem. I w ten szary poranek pojął. Morze! Droga, co wszędzie wiedzie, jak bajał Czcibor. Wspomniał, jak pobił w głębi kraju drużynę Gorna, wiele lat przedtem. Lice go paliły. Wspomniał wolnego woja Olafa, syna Trygwy. I Swenda. I Haralda. I wszystkich tych wojów normańskich, którzy po morzu chodzili po łup, po sławę, po bogactwo. A on? A on rzygał, gdy się wyprawił na ryby.

Wsparł się łokciami w ramę okienną, patrzył na nieustający napad grzywaczy. I myśli, rozpierzchłe w wichrowaty niepokój, zaczęły się skupiać, zbierać w jeden punkt, w jedną gwiazdę: — Jomsborg.

Dotąd Jomsborg był tylko wrażym gniazdem, które trzeba rozdusić nogą, rozwalić. Ale nie — Jomsborg to morze, to droga, która wszędy prowadzi. Mieszko, ojciec jego, zmusił Jomsborczyków, by mu przysłali drużynę, która biła się po wszystkich ziemiach księstwa. On, Bolko, zmusi zbójów jomsborskich, by mu służyli inaczej.

Na morzu, na owej drodze normańskiej. Pojął.

Była to pierwsza jego myśl, jako księcia. Wolno odszedł od okna. Znów patrzył chwilę na Gunhildę — zdała mu się nagle wstrętna z tymi otwartymi, jak u ryby, ustami. Począł się szybko odziewać, niecierpliwie, byle jak. Wyskoczył, biegł do Stojgniewa, wpadł na śpiącego, szarpał go za ramiona:

— Bij w tarcze. Nie będziem czekać na Czciborowe łodzie. Łodzie najdziem w Jomsborgu!

Antoni Gołubiew

[1]) **papaszele** — nałożnice; [2]) **blwać** — spluwać, zrzucać; [3]) **konung** — książę, władca normański; [4]) **pry** — prawi; [5]) **szczyt** — tarcza.



Ratusz gdański zniszczony przez huragan wojny

Fot. E. Zdanowski

JERZY BOHDAN RYCHLIŃSKI

RAJTAR O MARYNARZACH

Zamieszczamy poniżej fragment powieści pt. „Kulawy bosman", przygotowanej obecnie do druku przez znanego pisarza - marynistę, autora „Przygód Krzysztofa Arciszewskiego", jako też wielu opowiadań, utworów poetyckich i artykułów, o wnikliwie, rasowo ujętej morskiej tematyce. J. B. Rychliński — przypomnieć też trzeba z uznaniem — jest jednym z pierwszych tłumaczy dzieł Conrada na język polski.

Akcja powieściowego fragmentu rozgrywa się w Wismarze, w niemieckim porcie - twierdzy, do której król Zygmunt III-ci w 1629 roku, w okresie trzydziestoletniej wojny, wysłał był na pomoc Wallensteinowi flotę polską po jej zwycięskiej bitwie, stoczonej ze szwedzką eskadrą Niklasa Stiernskjölda pod Oliwą.

Komendantem portowej twierdzy w Wismarze jest rotmistrz Ross, kreatura, pijaczyna, postrach mieszczan. Wydał on rozkaz zaaresztowania polskich marynarzy, gdyż nie chcieli mu wydać okrętowej artylerii. Lecz rozkaz chybił: — marynarze znaleźli drogę na wolność.

W takich okolicznościach toczy się właśnie rozmowa Rossa z burmistrzem Wismaru. Myśli, kłębiące się w zapijaczonej głowie rotmistrza, w sposób groteskowy odtwarzają charakterystyczny obraz pojęć ówczesnych o marynarzach i ich życiu na tle XVII-ego. wieku. (Przyp. Red.).

Podobna do wolej, wyłupiastooka głowa burmistrza nigdy jeszcze tak nie pracowała. Przypominały mu się wszystkie gwałty rajtarów, jakie kronikarze miejscy notowali. Ale nie przychodziło mu na myśl nic, prócz prawdy.

— Ani chybi, uciekli przejściem — rzekł — które pokazał im Dietrich, rzezimieszek. Zapomnieliśmy go w karcerze. Polacy wypuścili go z celi, a on im drogę pokazał.

— Ha! Czego się dowiadujemy! — zatryumfował Ross. Ująwszy się pod boki, rósł w oczach. — Rzezimieszek, zapomniany w karcerze... O, marny los! A kto o nim zapomniał, he?

Nie było na to odpowiedzi.

— Spodziewam się — podjął — że Magnificencja ujął tego opryszka. Najsampierw tego Dietricha w ręce miejskiego mistrza się odda, a wówczas... Ha! Marny los! — I z niespodziewanym zwrotem rajtarskiego dowcipu zakonkludował dręczyciel: — Wtedy wyjdzie na jaw bez pochyby, kto mu to zrobić kazał!

Resztki włosów pod szlafmycą zjeżyły się Magnificencji. Zwątpił nawet, czy zdoła się wykupić z tej opresji. Wszystkie sztychy rajtara w niego godziły. Tak długo szalała wojna, że znikł już i cień sprawiedliwości. Ludność cywilna wydana była na łaskę i niełaskę.

Magnificencja, w rozpaczy pogrążony, zapomniał, iż podczas wojny wypadki gonią jedne drugie. Kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie. Nie zauważył tedy, że zbliża się wybawienie.

Lecz Ross wyczuł, iż sytuacja się gmatwa. Od niejakiego czasu słyszał poprzez mury krok wojskowy. Przemknęło mu przez myśl: — kompania de la Toura wraca. Ale nie. To nie był ciężki, druzgocący krok piechoty. Ani też sztuczny, szczudłowaty, rozsiewający miłe wonie końskiego potu i stajni — krok spieszonej jazdy. Więc któż, u Boga Ojca? Ognistego luda w twierdzy było mało i artylerzyści szyku nie przestrzegają. Ani piechota, ani jazda. Więc marynarze. W pierwszej chwili zdumiał się. Polscy marynarze mieliby wracać, dobrowolnie leźć w matnię? — Nie!...

A jednak idą marynarze! Znał to szuranie, chybotanie się, jakby wszystkie stawy w tych drabach były porozkręcane i kości im chodziły luźno. Ów pośpiech. Zawsze im śpieszno. Dokąd? Do portowej knajpy. O marynarzach rotmistrz Ross myślał z otrząsem. Szczęście jeszcze, że z reguły tego, co rajtar, nie piją. Polscy marynarze wypili wino z piwnic ratusza, ale zrobili to na złość. Rossowi na złość. Będzie się opowiadało z szelmowskim mrugnięciem, jak to sławnemu biboszowi marynarze polscy odpłacili. Od zawsze niechętnych jeździe artylerzystów wieść zawędruje do piechoty. Do dralującej per pedes apostolorum piechoty! Horrendalne! Zwichnięta kariera!

Mieszczańskim piwem również gardzą. Oni muszą mieć coś wymyślnego, jak szalbiercza i wymyślna cała ich broń. I do niczego niezdatna. Piją rum. Pali we wnętrzu, gorzej od małmazji, choć przez gardło przechodzi gładziej od sznapsa. Ten rum to całkiem diabelski dekokt, warzony przez kolorowe małpy na antypodach. Albo co za pomysł wlewać w siebie grog! Innymi słowy, dodawać do trunku wody, którą nazywają oni słodką. Woda całkiem nie jest słodka. Phi!

Albo w Indiach ollenderskich rosną palmy, z których soku robi się arak. Tego Ross nie próbował, zawsze przywodziło mu to na myśl — sok brzozowy. A oni jeszcze bredzą, że taki arak z Batawii zawiera pół na pół czystej okowity. Co jeszcze ? Dżin. Śmierdzi to jałowcem, do jakiejś perfumy czy larendogry podobne. Słabe, że chyba Negrom w smak. Whisky szkocka? Gorzała po prostu, żytniówka, sznaps. Albo obleją arakiem głowę cukru, zapalą i żywy ogień chłają. Po co? żeby do diabłów być podobni.

Całkiem zwariowane plemię ci marynarze. Kuglarstwo. Szarlataneria. Ot, co jest. Kuglarz wyciąga z kapelusza żywe króliki. Jednego po drugim. Jak on to robi, mniejsza. Ale fakt, że marynarze mają we łbach taką królikarnię. Wymawiając się od rzetelnej pracy, wymyślili, że marynarka to oddzielne wojsko. Mają ponoć na swych drewnianych twierdzach pływających wszystkie rodzaje broni: artylerię, piechotę, no i szczególny rodzaj, sztukmistrzów — żeglarzy.

Morska artyleria! — Ross znowu się skrzywił. — Do mniejszego celu, niż całe miasto — nie trafi. Pochodzi to stąd, że wszystko na morzu jest diablo rozchwierutane. Fale im podkłady podbijają wzdłuż i w poprzek. Więc po co rozwozić na rozruchanych deskach tyle spiżu? Jakby kto kartaunę na karuzelę wwindował, żeby lepiej trafić.

Do prawdziwej, rzetelnej piechoty marynarze nie dają się zaciągnąć. Na piechtę dymać? O, nie! To nie dla marynarza. Nie dla majtka. Tak się przecie zwą — od tych cudacznych portek, które bezwstydnie noszą. Baba by się w nie zmieściła. Ciężko? Pewnie, że ciężko, skoro się nie jeździ.

Marynarz na koniu! — Srogi rotmistrz Ross ledwie śmiechem nie prychnął. Wyobraził sobie marynarza w siodle.

Nalewał sobie wciąż z beczki, na której stało: — „Malvasia di Napoli". Strzelały mu przez głowę wciąż nowe myśli, niczym błyskawice w noc burzliwą, które otwierają na moment bezgraniczne horyzonty, aby zaraz świat pogrążyć w jeszcze większych ciemnościach. Wszystko to były fantazje na temat — marynarz. Iście jak pijany płotu trzymał się tej idei.

Razu pewnego Ross widział kolorową małpę. Na dworach pańskich ponoć się zdarzają. Wielcy panowie dla krotochwili trzymają sobie takie małpoludy, sprowadzając je z obrazą Boską od wszetecznych Maurów, albo od aroganckich Hiszpanów i przebiegłych Portugałów. Ta małpa, którą oglądał za szóstaka na rynku w jarmarcznej budzie, była to — samica. Zasię przeklęci marynarze, gorsi od heretyków, z takimi to właśnie małpami w sprośności żyją. Absurdalne horrenda!

Bo i czego spodziewać się zresztą po drabach, którzy jak papugi we wszystkich językach świata bez zrozumienia paplą, a śmierdzą jak diabli — smołą, od czego zwą się nawet „smoluchy". I czymś jeszcze, co nazywają solą morską, a co przypomina odór zgniłych wodorostów i zaśmiergłej ryby... Żrą przecież swoje ryby i inne potwory głębin, w najlepszym zaś razie robaczywą peklowinę, od czego chorują na szkorbut i—zęby tracą. Póki ich nie stracą, wyśmienicie potrafią pluć na odległość, czego nauczyli się od jadowitych węży.

I we wogóle gęba marynarza jest pełna nieczystości. Tabak, owo ziele, które czerwonoskórzy Kolumba nauczyli palić, oni nie tylko palą, ale i żują. Sok z tego brązowo-czarny i cuchnący. Żeby to tylko — jeszcze tym sokiem strzykają do celu! Jedni potrafią na sążeń, inni dalej. Są i mistrze od plucia, którzy przeplują każdą dziurkę od klucza i jeszcze za nią opływają co zechcą. Czasami też wydaje się, że mają w gębie krew i zębce czerwone. To od żucia innego ziela. Zwie się — betel. Liście to są zielone, ale przy żuciu ich z wapnem, robią w gębie czerwień. Plwociny takich żujców betelu są jak u suchotnika. A im nic. Oni sobie wędrują po ziemskim kolisku, powiadając wbrew starożytnym, że to nie orbis terrarum, ino gruszka, na której czubku raj siedzi. Wszystko to wedle zasady: pluć i łapać. I za to jeszcze monarchowie ciężki pieniądz im płacą.

Szczególnie u Angielczyków i Ollendrów, a nadętych Hiszpanów, tego plugastwa morskiego niezliczone zgraje się wodzą.

— Czwanią, że się znają na gwiazdach! — rozmyślał Ross, nie zapominając zaglądać do konwi. — A co komu z tego? I astrologus Wallensteina, Sasin, zna się na gwiazdach i układa panu swemu horoskopy, a co dowcipem ruszy, to jak marcowe cielę ogonem. Nie dziw, że marynarze, w taką wlazłszy kabałę i cierpiąc na takie pomieszanie zmysłów, klną na czym świat stoi. Ale całkiem inaczej, niż kawalerzysta. Jak rajtar albo kirasjer klnie, to zaraz wiadomo, o co chodzi. Krótko a węzłowato. Z sensem. Zaczyna i, oczywista rzecz, przerywa w porę. Kiedy marynarz zacznie kląć, to nie wiadomo, jak i kiedy skończy. Kiedyś — przypomniał sobie Ross — jakiś pijany żeglarz zaczął kląć, dostał czkawki, zwrócił wszystko, co wychlał, podjął jednak dalej swą plugawą mowę w tym samym miejscu, w którym czkawka mu przerwała. A przy tym ani razu się nie powtórzył. Wszystko to pochodzi stąd, że marynarze swoje przekleństwa, a wyklinanie — obmyślają jak strateg bitwę. Klątwy nie płyną im z serca, ale dobywane są z głowy. Budują je oni na piętra, w górę, niby Wieżę Babel. Nagromadzają w nich obok morskich i zamorskich dziwów najobrzydliwsze sprośności, wiążą to na jakiś cudacki węzeł, od czego są majstry, i nagle — rozwiązują. Wtedy się wszystko, jak groch z kapustą, na łeb człowiekowi wali. Po co? Dla nadzwyczajności...

— O, marny los! — rotmistrz Ross zaklął z furią, aż burmistrz struchlał.

STANISŁAW MIODUSZEWSKI

Przybycie

O, jakże smutna była nasza dola,
gdyśmy przybyli ziębnięci do kości!
Nikt nas nie witał, nikt nas nie policzył
w noc, gdy fala ryczy
wściekłym sztormem o mola.

Przed nami leży ziemia bezbronna i rozmokła,
na której naszych ojców zbutwiałe legły sieci.
Stężałe żagle, wydarte wichurom
z rej — przeklętą skórą
cisnęliśmy o pokład.

I zanim czarne niebo księżycem się okoci,
majakiem ciemnych sylwet zjawimy się na redzie.
Z chrzęstem rzucimy rdzewiejące brzemię
w dół — na pohybel ziemi
kotwic zębaty pocisk.

Zgrabiałym pięściom rękojeści nożów
jedyną będą pociechą i dumą:
A-hoj, ziemio! Czy jesteś gotowa
usłyszeć twarde słowa
ludzi idących z morza?

MARIAN BRANDYS

Górne i chmurne lata Gdańska

Nie był to, rzecz prosta, smutnej pamięci rok 1939, ani lata bezpośrednio go poprzedzające, gdyż w tym okresie Gdańsk dosięgnął już dna swej hańby i dawno zatracił właściwe oblicze historyczne. „Wolne Miasto" Gdańsk, zhitleryzowane i sprusaczone bez reszty, stolica Forsterów i Splettów, witające najeźdźcę biciem w dzwony i hołdowniczym orędziem — nie było już Gdańskiem dawnym, ale nędzną powersalską szopką, podbijaną konsekwentnie przez teutońskiego kabotyna, którego siła polegała na tym, że potrafił w najbrutalniejszy sposób dyskontować niewybaczalne błędy przeciwników.

Gdańsk prawdziwy — miasto, łączące w sobie pychę patrycjusza z kupiecką chciwością i zuchwalstwem korsarza, ale związane z polską Macierzą węzłami tradycji i życiowych interesów, utraciło swój byt niepodległy już znacznie wcześniej — wraz z upadkiem pierwszej Rzeczypospolitej.

Lata 1792 — 1794 i następujące po nich lata napoleońskie zapisały się zaszczytnie w historii miasta. W równym stopniu zagrożony przez nawałę pruską, co w roku 1939, ówczesny Gdańsk bynajmniej nie otworzył przed nią pokornie swych bram. Bronił się długo senat, a po załamaniu się senatu, wbrew jego tendencjom układowym, bronił się przed nią samorzutnie gdański lud. **Nigdy może jeszcze w swojej historii to miasto o buntowniczych tradycjach nie akcentowało tak silnie słowem i czynem solidarności i wspólnoty z ginącą Rzeczpospolitą, jak właśnie w tych górnych i chmurnych latach swego upadku.**

Na wzrost wpływów i siły atrakcyjnej Polski w Gdańsku składają się ówcześnie dwie zasadnicze przyczyny. Pierwsza, o której wspomniano już wyżej, jest boleśnie konkretna: napierające od zachodniej ściany wojska pruskie w równym stopniu dybią na Gdańsk, co na Wielkopolskę. Ludność gdańska wie, czym to grozi. I choć Senat gdański zapewnia w hołdowniczych listach pruskiego suwerena o swej nieodmiennej życzliwości, to przecież **nie pragnie bynajmniej dostać się pod „opiekuńcze skrzydła" zaborczego czarnego orła.** Druga przyczyna jest natury społecznej. **Na mieszczański i oświecony Gdańsk olbrzymi wpływ wywarła Rewolucja Francuska.** Pruski absolutysta spogląda na szerzący się w Gdańsku „jakobinizm" okiem bardziej niż niechętnym i coraz częściej usiłuje „interweniować" policyjnie przez swych agentów dyplomatycznych. Naturalnie, że w tych warunkach Polska, zbierająca właśnie demokratyczne żniwo Czteroletniego Sejmu, cieszy się u gdańskich jakobinów niekłamaną popularnością i uważana jest za jedynego obrońcę przed pruskim „opiekunem".

Rzecz prosta, że o tej gdańskiej sympatii wiedzą i w Warszawie, gdzie sytuacja w tym czasie przybiera obrót coraz bardziej beznadziejny. Pomysł zdyskontowania tej sympatii jako ostatniego ratunku przed katastrofą rodzi się w głowie pewnego młodego porucznika Wojska Polskiego, nazwiskiem Fiszer. Drobniutki i ostronosy „Fiszerek" (późniejszy generał i szef sztabu Poniatowskiego) jesienią 1792 roku wybiera się do Gdańska, na razie prywatnie i na własną rękę. Bawi tu przez tydzień, nawiązuje mnóstwo serdecznych stosunków z patrycjuszami i jakobinami i raczy się obficie doskonałą gdańską wódką. Jednocześnie zaś czujnie wietrzy nastroje swym długim nosem, a chłodnymi oczami sztabowca mierzy i ocenia grubość, siłę i wartość obronną wałów, bastionów i arsenału miasta.

Inspekcja wypadła dobrze. Fiszer wyjeżdża z Gdańska i melduje o swych spostrzeżeniach jednemu z najwybitniejszych sztabowców polskich — **Janowi Henrykowi Dąbrowskiemu.** Ten zapala się do planu młodego kolegi i postanawia go zrealizować. Powstaje niezwykle śmiała myśl zgromadzenia armii polskiej wraz z artylerią i załogą warszawską, przebicia się przez pierścień wojsk pruskich do Gdańska, obwarowania się tam i doczekania się posiłków od Rewolucji Francuskiej.

Ostatecznie plan ten ze względu na niemożliwe do pokonania przeszkody techniczne, został zarzucony. Sam fakt jednak, że istniały obiektywne warunki dla jego zrealizowania, dobrze świadczy o ówczesnym Gdańsku.

Tymczasem koniec polskości i niepodległości Gdańska zbliżał się nieuchronnie. Traktat drugiego rozbioru Polski, podpisany przez trzech najsroższych autokratów Europy, przyznaje Gdańsk królowi pruskiemu jako nagrodę... za udział w wojnie przeciwko Rewolucji Francuskiej.

Fryderyk Wilhelm wydaje gen. Brünneckowi rozkaz bezzwłocznego zajęcia miasta przez zaskoczenie. Wykonanie rozkazu nie doszło do skutku, gdyż jak stwierdził wywiad, Gdańszczanie, którzy podwoili straże i czujność, mieli jeszcze do rozporządzenia poza regularną załogą milicyjną około 7 tysięcy gwardii obywatelskiej oraz do 8 tysięcy „wszelakiego stanu ludzi gotowych bronić się do upadłego przeciw Prusakom". Rad nierad więc, **pruski zbój z zaskoczenia musi na razie zrezygnować.** Przechodzi jednak do metody innej: **brutalnego nacisku politycznego.** Rozpoczyna się niesłychany i ordynarny szantaż, polegający na żądaniu wydania Prusakom francuskich „jakobinów", którzy schronili się w Gdańsku. Senat, nie widząc innego wyjścia z sytuacji, postanawia Francuzów wydać. Lud gdański reaguje na to oburzeniem i protestem, co z kolei wywołuje spotęgowanie nacisku „antyjakobińskiego" ze strony pruskiej.

Tymczasem nadchodzi tragiczna wieść o zajęciu Torunia przez Prusaków. Gdańsk przyjmuje ten sygnał bezpośredniego już niebezpieczeństwa burzliwą manifestacją antypruską. **Tysiączne tłumy przemaszerowują ulicami miasta, śpiewając Marsyliankę i wygrażając Niemcom.**

Ta postawa gdańszczan posłużyła pruskiemu agresorowi jako ostateczny pretekst do zaboru miasta. W Berlinie zostaje sprokurowana deklaracja, określająca przyczyny, „dla których król pruski widzi się zmuszonym do zajęcia Gdańska. Przyczyny te są następujące: **„źle rozumiana przez Gdańszczan wolność", „ich mało przychylne sentymenty dla Jego Królewskiej Mości", „znoszenie się ich z polskimi spiskowcami i francuską rebelią".**

Przyczyny powyższe zasługują na uwagę z tego względu, że były one jedynymi tytułami, na których opierało się późniejsze, przeszło stuletnie panowanie Niemców w Gdańsku.

Opatrzony w ten charakterystyczny dokument, pruski generał Raumer stanął ze swymi wojskami w marcu 1793 r. pod murami Gdańska.

Położenie miasta było bez wyjścia. Po trzydniowych burzliwych obradach, Senat, idąc za zdaniem bogatego kupiectwa, uznał samodzielną obronę za całkowicie niemożliwą i postanowił poddać się Prusakom. Gen. Raumer ze wspaniałomyślnością, właściwą wszystkim pruskim zwycięzcom, zgodził się na przyznanie warunków kapitulacji honorowej, których, rzecz prosta, ani myślał dotrzymywać.

Ale w momencie, gdy senat wydał już rozkaz opuszczenia fortyfikacji zewnętrznych, a Prusacy mieli już wtargnąć do śródmieścia, **bohaterski lud gdański powstał samorzutnie do rozpaczliwej obrony.** Zdradzone i zrozpaczone tłumy obległy gmach Senatu. Żądano od przerażonych senatorów walki do upadłego z niemieckim najeźdźcą. Obrzucano ich obelgami i zarzutami tchórzostwa i zdrady miasta oraz Rzeczypospolitej. Rozjuszeni patrioci poczęli podpalać spichrze i domy miejskich nobilów. Żądny walki tłum runął na arsenał. Wywalono bramy. Rozdzielono między sobą broń. Uzbrojeni obrońcy stanęli na murach przy działach i otworzyli ogień na nie spodziewających się niczego Niemców.

Naturalnie, że ten bohaterski odruch zrozpaczonej ludności nie mógł odwrócić biegu wypadków. Opóźnił jedynie oddanie miasta o kilka dni i przyniósł w konsekwencji hekatomby ofiar.

W początku kwietnia, wśród śmiertelnej ciszy, wmaszerowały do miasta pruskie regimenty. I natychmiast, od pierwszej chwili **rozpoczęła się konsekwentna, po prusku brutalna przemiana Gdańska na miasto niemieckie.**

Raz jeszcze, w cztery lata później, próbuje Gdańsk zerwać z siebie obrożę pruskiego ucisku. Przed Wielkanocą 1797 r. grupa radykalnych studentów gdańskich, **pod wodzą Bartholdego,** posiadająca kontakty z emigracją polską w Paryżu i z akcją legionową Dąbrowskiego, oraz pewne wpływy wśród gdańskich robotników i marynarzy — zawiązuje formalny **spisek dla obalenia władzy pruskiej i przywrócenia dawnego ustroju republikańskiego.** Niestety, ten nienależycie przemyślany i przygotowany spisek młodzieńczy, zostaje przedwcześnie wykryty i stłumiony żelazną pięścią pruskiego okupanta.

Władza pruska w Gdańsku gruntuje się. Uwolnić miasto od jarzma i połączyć je znowu z Polską może tylko całkowity zwrot historii.

Mogło się wydawać, że ten zwrot przyniesie z sobą kampania napoleońska.

Wiosną 1807-ego roku X-ty korpus francuski, pod dowództwem **marsz. Lefèbre'a,** oraz wchodząca w jego skład **3-cia Dywizja polska gen. Giełguda, rozpoczęły oblężenie Gdańska.** W mieście broniła się silna załoga pruska. Gdańszczanie, sprzyjający całą duszą oblegającym, nie tylko, że żadnego udziału w obronie nie brali, ale ułatwiali jeszcze dezerterom z załogi pruskiej: Polakom i Niemcom, masowe przechodzenie na stronę oddziałów polskich.

Dywizja polska bojami na przedpolach Gdańska zapisała jedną z najpiękniejszych żołnierskich kart, przyczyniając się walnie do zdobycia miasta. Z ogólnej liczby 6.000 żołnierzy, **dwa tysiące poległo, a trzy tysiące odniosło rany.** Niebywałym męstwem i bohaterską śmiercią wsławił się główny bohater gdańskiej bitwy, młodziutki **podpułkownik Antoni Parys.** Dowody wybitnej waleczności złożyło wielu innych polskich oficerów i żołnierzy.

Jak stwierdzają jednogłośnie źródłowe opisy, wyjątkowa zażartość żołnierza polskiego w bitwie gdańskiej miała swe źródło w niezachwianym przekonaniu, że Napoleon wykona swe zobowiązania wobec Polaków i po zwycięstwie odbuduje Polskę z Gdańskiem i z Pomorzem. **Żołnierz polski, walcząc pod Gdańskiem i Wisłoujściem, wierzył, że bije się o polski Bałtyk i Gdańsk.** Wraz z nim wierzyli w to i Gdańszczanie. Wierzyła i marzyła o tym Warszawa, która datę zdobycia Gdańska — 27 maja — uczciła szałem radości i całonocną iluminacją.

Niestety, wiosna napoleońska realizacji tych marzeń nie przyniosła. Napoleon oszukał Polaków i tym razem. Po konferencji tylżyckiej wizja silnej Polski rozpłynęła się w nicości. Ani Gdańsk ani Pomorze nie weszły w skład miniaturowego księstwa warszawskiego. Gdańsk był zbyt ważnym i korzystnym portem, przeto objął go zarząd francuski.

Marzenia Warszawy i polskiego Gdańska dopiero w stopięćdziesiąt lat potem ziściła inna wiosna — wiosna 1945 roku. Rozkołysana grzmotem armat i brzemienna wolnością — W I O S N A W I E L K I E G O Z W Y C I Ę S T W A.

B i b l i o g r a f i a : S. Askenazy — „Gdańsk a Polska". R. Lutman — „Historia Gdańska w latach 1793—1918". Gralath — „Versuch einer Gesch. Danz."

WITOLD WIRPSZA

Gdańska mgła

Niedawno podano mi wino
w złoconej uliczce Gdańska.
Pianino się w kącie nudziło
melodią meksykańską.

Ciężkimi młotami organów
zegary wieczór wybiły.
Młyn stary zastygł nad rzeką,
klekotać już nie miał siły

Wyszedłem ze złotej uliczki
i wsparłszy się o balustradę,
chciałem ułowić sens ciszy,
którą mi młyn opowiadał.

W miękkim brzęczeniu wieczoru,
we mgle, jak w szarym atłasie,
płynie gondola historii
i pluszcze o wodę czasu.

Wieczór już nad domami
zastygł rozlanym winem,
A Gdańsk się skarżył osłabły,
jak skryte w kącie pianino,

jak stary młyn ów na wyspie,
o którą godziny biły
i który, zmęczony historią,
klekotać już nie miał siły.

Gross-Born, jesienią 1942 r.



Westerplatte po kapitulacji we wrześniu 1939-go roku (Ze zbiorów poniemieckich)

LEON ROPPEL

KASZUBY W ANEGDOCIE

Gdyby mi przyszło wymienić przedstawiciela typowego kaszubskiego humoru, to bez namysłu postawiłbym na pierwszym miejscu Dawida Długiego z Jastarni. Umarł już dawno, ale pamięć o rozmachu i jego fantazji trwać będzie jeszcze długie lata.

Był to rybak niebyle jaki! Własną łódź, własne kartofle, własną dojną miał krowę, a co najważniejsze — własną parę koni. Dwa rapy, czyli inaczej: — kare. Nie były to biedne szkapiny, żywione zazwyczaj przez rybaków — charsztem, czy siciną. Nie przyszło nigdy Dawidowi Długiemu na myśl oszukać je: — nałożyć im na oczy zielone okulary i wyprowadzić na sztrąd, aby tu nakarmiły się wyrzuconą przez fale kidzą. Zresztą nie dałyby się też one nabrać na owsik nadmorski, nie mający — prócz obiecującej nazwy — żadnych wartości odżywczych.

Prawdę powiedziawszy, dobrze karmione konie Dawida Długiego były chlubą całego helskiego półwyspu. Gdy gospodarz ich wyprawiał swe urodziny, przez trzy dni bez mała połowę wsi gościł u siebie. Na jednym z takich przyjęć, zadraśnięty w swej „końskiej dumie", załadował gości na sanie i, mimo że był to dzień upalnego lata, poszorował po piaskach do Helu. Wiek ponoć nie widzieli ludzie takiego „brëku" i takiej pijatyki, jaką Dawid Długi urządził wtedy swym gościom w „Lwiej Jamie" na Helu.

Podobną, nie liczącą się z nikim zamaszystość, graniczącą z bezceremonialnością, widzieliśmy w opowiadaniu „Ecce Cassubal", pióra najgłośniejszego gawędziarza kaszubskiego, Pienlowego Tony.

Gdy pierwsza żona księcia Pomorza Zachodniego, Bogusława IV-go — Mechtylda, ani druga — Zofia, nie obdarzyły go dziećmi, trzecia zaś — Małgorzata, kolejno córki: Eufemię, Małgorzatę i Jutę urodziła — chodził ten władca zatroskany o los swego dziedzictwa. Gdy wreszcie urodził mu się długo oczekiwany syn, Warcisław, zarządził, aby prezentacja małego następcy i dziedzica wypadła wyjątkowo uroczyście.

Zjechali się wtedy możni — biskup, prałaci i szlachta. Krewna, przeorysza zakonu, trzyma poduszkę, w której leży maleństwo. Damy dworu asystują. Bogusław, dumny z ojcostwa, wynalazł dla siebie wówczas szczególne zajęcie. Co chwila oto unosi kosztowną kołderkę i, rozwijając stosy miękkich pieluszek, daje kolejno każdemu z obecnych możność przekonania się naocznie, że to rzeczywiście syn, heres et successor, dziedzic i spadkobierca, a nie córka mu się narodziła.

O jednym z opatów oliwskich, doskonałym znawcy wszelkiego rodzaju win, opowiadają, że gdy po cierpkich napojach pomorskich skosztował włoskiego wina, zwanego „Lacrimae Christi", głośno wówczas ubolewał nad tym, że Kaszuby nie były ziemią, na której płynęły „słodkie łzy Zbawiciela". Nasza bowiem kraina jedynie z piwa słynęła.

Jeszcze dzisiaj opowiadają ludzie legendy o puckim piwie. Gdy było ono gotowe, zawiadamiano wielce dostojną i szanowną radę miasta Pucka, aby wysłała swoich radnych na jego wypróbowanie. Dla ustalenia smaku wychylano pierwszy kufel, łykając wolno kroplę po kropli. Drugi kufel wylewano na ławę. Kilku radnych siadało wtedy na rozlanym trunku, czekając aż opróżniony zostanie trzeci kufel. Na dany przez przewodniczącego znak, powstawano równocześnie z ławy. Jeśli „trzymała się" ona spodni, dopóki eksperci do drzwi nie doszli, wówczas piwo bywało uznane za dobre i otrzymywało odznaczenie; jeśli jednak ława od spodni „odkleiła się", zanim drzwi otwarto, wtedy piwo otrzymywało markę półwartościowego, czyli takiego, jakie gburzy kupowali swym parobkom dla ugaszenia ich pragnienia w upalny dzień żniw.

Kiedyś — jak opowiada Ramułt — jeden z gburów przyjechał ze swym synem z dalekich Błot Karwińskich. Po ugaszeniu pragnienia piwem wstąpili obaj do kościoła na Mszę świętą. Syn ledwo trzymał się na nogach, a spojrzawszy w stronę wystrojonych dziewuch, spytał ojca, co to za istoty.

— Cicho, synie, to są pokusy! — odparł zapytany.

— Te pokusy są jednak bardzo szykowne! — zauważył syn z westchnieniem. Po wyjściu zaś z kościoła zaczął płakać. Zdziwiony ojciec spytał go o powód żałości. Chciał go nawet znowu poczęstować piwem, ale syn odmówił stanowczo:

— Nie, tatku — rzekł — kupce mie lepiej jedną taką pokusę, bo mie za nimi je bardzo teskno.

Z kaszubskich uroczystości rodzinnych najszumniejsze bywają wesela, boś to „wesele rôz, a bieda jaż do smiercë". Nierzadko wtedy słyszy się rozmowy starszych, dla których owa uroczystość, jak wysepka radosnego wspomnienia wybija się na monotonnym morzu życia.

Temperament Kaszuby jest opanowany, humor raczej ukryty. Rzadko kiedy wydobywa się z ust kaszubskich lekkie, wesołe słowo. Ciężka praca na morzu czy na roli, uczyniła go milczącym. Gdy jednak radość przebije skorupę opanowania, wtedy tryska i perli się humor. Najlepszą okazję do tego dają wesela, trwające nieraz trzy dni i trzy noce. Ciężko zapracowane i zaoszczędzone talary lekko wtedy opuszczają sakiewki. Jak każdą pracę, tak samo sumiennie i poważnie traktuje się wówczas i muzykę i taniec, i śpiew i ucztowania, i picia, i kochania.

Przed obiadem skrzypki przygrywają:
— Będziem jedli, będziem pili!
A bas odpowiada:
— Jak Bóg da, jak Bóg da!
Podczas tańca:
— Tuli, tuli, tuli, tuli.
Niech się brzuch do brzucha stuli!
Bas wtedy podpowiada:
— A pęp z pępem, a pęp z pępem!
Na skąpym weselu skrzypki skarżą się:
— Nic nie jedli, nic nie pili!
A bas im wtóruje:
— Nie mówił ja, nie mówił ja!

Podobnie uroczystą, jak uczta weselna, bywa również i stypa pogrzebowa. Nie zdarzyło się jeszcze, aby nieboszczyk opłakiwany na stypie, wyprawionej z powodu jego śmierci, zasiadł pośród ucztujących. Aliści pozwolił sobie na to **jeden z największych poetów kaszubskich: Jarosz Derdowski.**

Kiedy po długiej wędrówce po Francji, Austrii, Niemczech, Węgrzech i Turcji skrajna nędza Jarosza w Rzymie przygniotła, kiedy znikąd nie mógł on znaleźć środków do życia, a nawet na powrotną drogę do kraju, do rodzinnego Wiela, podrobił on wówczas świadectwo własnego zgonu, i co nadto, zwrócił się do swego ojca z prośbą o pieniądze na własny pogrzeb. Wzruszony rodzic kpiarza wysłał mu pieniądze. Marnotrawny syn wrócił do domu w chwili, gdy cała rodzina zasiadła właśnie do stypy na jego cześć urządzonej.

Chrzciny w kaszubskim domu to również „szykowna uroczystość". Słyszałem razu pewnego, jak ktoś radził się, co przywdziać należy, gdy się idzie na taką uroczystość: — frak, czy smoking, czy po prostu ubranie wizytowe. „Jô tam nie wiem, jako terôz je moda — odparł zagadnięty.— Mie to oni zaniosłe na podëszkach, w pielëchach zawinionego do koscoła".

Kiedy burmistrz miasta Wejherowa, Teodor Balduan (którego wdzięczną pamięć pielęgnują wszyscy Wejherowianie) w jednym ze sprawozdań prasowych zbyt samochwalczo podkreślił zasługi swoje dla rozwoju i powiększenia miasta, któryś z dowcipnisiów, wychodzącej w tym mieście kaszubskiej „Klëki", przypiął mu łatkę oświadczając, że jeżeli Wejherowo przez ostatnich lat parę powiększyło się rzeczywiście o blisko cztery tysiące mieszkańców, to nie jest to chyba zasługą wyłącznie samego burmistrza, ale na pewno też i innych obywateli miasta.

A i obecnie wychodząca w tym mieście „Zrzesz Kaszëbskô" pielęgnuje swoisty, zdrowy kaszubski humor. Kiedy w niej czytam pełne subtelnej ironii słowa o odszkodowaniach wojennych:

Jak Polska królów w Gdańsku,
Gdzie jadła było w bród,
Mack przyjmie was po pańsku —
Po wyrównaniu szkód...

to wówczas zaczyna mi świtać w głowie, że Guczów Mack chce przesunąć ten termin — ad calendas graecas.

Jednak nie jest tak źle, jak się mówi. Powoli wszystko wraca do porządku. Jeden z moich znajomych chwalił w rozmowie pewne miasteczko kaszubskie jako ideał porządku — z powodu golibrodów. Bo zaczynając urzędowanie o godzinie 8-mej zawsze był pewien, że na kwadrans przedtem mógł wyjść od swego fryzjera odświeżony, dobrze przez to usposobiony i zadowolony z życia.

Co do mnie, byłem niedawno wcale zaskoczony wywieszką jednego z fryzjerów przy ulicy Marsz. Rokossowskiego w Sopocie: „Od dziś golę na dole". Tylko dlatego, że przeszedłem już w obozach podczas wojny różne „golenia", nie zląkłem się zbytnio. W rezultacie dowiedziałem się, że ów Kaszuba sopocki przeniósł po prostu swój zakład fryzjerski z pierwszego piętra na parter, gdzie goli teraz brody, jak przedtem.

Inna znów autentyczna anegdota. Kiedy w marcu br. A. J. Rathnaw, przedstawiciel amerykańskich Kaszubów bawił w Wejherowie, przynosząc pozdrowienia i pomoc od około 85-ciu tysięcy Kaszubów pielęgnujących dziś naszą mowę i obyczaje za oceanem, ktoś z postronnych przypomniał mi znane powiedzenie: „Kiejbë moja mëmka czasem mięso gotowała, bëłbëm doma sedzôł"!

Ile w tym powiedzeniu pogody ducha, stwierdzić mogą tylko ci, co znając ubogą naszą ziemię kaszubską, pamiętają stosunki sprzed pierwszej wojny światowej — rugi Bismarcka i pruskie ustawy ekspropriacyjne.

Kaszubi znani są z bystrego i praktycznego rozumu. Ktoś kiedyś zażartował sobie, że na Kaszubach można nawet nabyć lekarstwo, przyczyniające się do rozrostu rozumu, czy powiedzmy po prostu, do zwiększenia mądrości. Jak głosi anegdota, udał się ktoś do pewnego Kaszuby z propozycją kupna takiego leku. Na zapytanie, czy cudowne owe lekarstwo posiada, Kaszuba odpowiedział twierdząco, po czym wręczył osobnikowi jedno dzwonko śledzia i podawszy sposób jego „zażycia", pobrał wysoką zapłatę.

Po jakimś czasie wrócił ów osobnik — z wyrzutami. Biadał, że został oszukany. Za wygórowaną zapłatę mógłby nabyć nie jakiś tam kawałek, ale co najmniej tuzin śledzi. Twierdził przy tym stanowczo, że lekarstwo nic mu nie pomogło. Kaszuba odparł wówczas z powagą:

— Jakże to? Chciał pan lekarstwa na zwiększenie mądrości, dostał je pan. Cóż można żądać więcej? Widzę przecież, że moje lekarstwo poczyna działać.

Przebiegłość, połączona, powiedzmy delikatnie, z oszczędnością, wybija się na czoło wszelkich kaszubskich poczynań. Czasem nawet jest to filozofia praktycznego rozumu, przewyższająca swą prostotą formułki Immanuela Kanta. Któż da odpowiedź na pytanie, jaką z godzin dnia uważa za najszczęśliwszą? Odpowiedź trudna niewielu też umiałoby ją wyrazić w prostych słowach kaszubskiego rybaka: — „Kiedy wieczorem wracam do domu, nade mną gwiazdy na niebie, we mnie przeświadczenie uczciwie przepracowanego dnia, a pode mną — łódź pełna ryb. Wtedy to mam moją najpiękniejszą godzinę."

Pracując przez całe swoje życie, nawet najprostszy kaszubski robotnik marzy o własnej chacie z ogródkiem. Jeśli na starość nie weźmie on sobie za towarzyszkę choroby, zatrzyma wtedy z pewnością pogodę ducha, aż do ostatka życia. A gdy staremu mówi się u nas: „Starku, ko wë jesz wëzdrzice bardzo zdrów i mocny, i we jesz będzece zëlë kopę lat" („Starcze, toć wy jeszcze wyglądacie bardzo zdrowo i silnie, więc jeszcze pożyjecie kopę lat) — często w zamian usłyszeć można w odpowiedzi: „Jô, ale daną, bo mie je ju kąsk czëc"! (Tak, ale już mnie czuć nieco świerczyną!).

Wtedy dziwnie chętnie opowiada stary Kaszuba o pogrzebach, na jakich bywał w ciągu lat swego życia, o ilości wieńców i o pięknym doborze gości pogrzebowych jak gdyby okiem swego ducha widział przyszłość i był o to spokojny, że jego pogrzeb nie będzie pogrzebem nędzarza.

PIENLÓW TÓNA

O powstaniu Kaszub i pierwszego Kaszëbë

Bardzo, bardzëczko dôwno, kiéj Pón Bóg jesz po swiece chodzył, zaszedł téż do naszéj krainë.

A ubożuchnô tej bëła nasza zemia! Same piôski, same gónë [1]) i ani oko sę ni mogło zatrzëmac na niczym miłym, ani ucho ni mogło uchwëcëc przëjemnégo zwęku, ani serce ni mogło nalezc niczego, co bë jé mogło uceszëc.

Pustki i rówiznë sę cignęłe, jak bë to bëł ju czësto zabôcôny [2]) krôj, dze nicht nigdë nie dochodzëł, le ten wiater, co to swoją zëmicą zoła morzył [3]) i na jich chłądach [4]) wëgriwôł swoję smutną nótę.

Piôsk chrzęszczëł pod stopami jidącégo. Ten głos, jakbë głos cëchij skargi opuszczonych i zabôczônych, ocucył jak bë Pana Boga. Stanął. Przëzdrzôł sę uwôżniéj w koło i terôz nôprzód zrëszył go ten widok téj próżno ostawionéj krainë. Wezdrzôł swojém łaskawym okem na te pustki—a wej!—pod blôskem [5]) tego błogosławiącego wezdrzeniô zaczęłë pagórki sę unaszac, cemné borë i lasë wërastac, chłodné zdrzódła toczëłë w jich céni swoje wodë a w miłëch jezorach przezérało sę modré niebo.

I tu, na prôwdę miôł Pón Bóg radosc z tworzeniô, bo i niebowyżné górë tu stwôrzył i dalekowidné rówiznë, i strzébrzne piôski, dze leno szary wrzos rosce i dze modré zwonuszki le trzmiele zwoływają, abo téż dze na czôrnéj, cężkij roli pszénica sę mieni i złoci, abo dze z modrozelonëch łąk bazuna [6]) pasturka sę odlégô [7]). W nocnéj [8]) zôs stronie stworzył to jantarowé [9]) morze!

I tak to, na tym môłym skrôwku zemi, stworzył wszëlkiégo po përzince [10]), bo tu chcôł w zmiéjszeniu pokazac cały wiélgi swiat.

Od tego téż czasu nawiédzôł Pón Bóg tę zemię często i miôł ję nadewszëtko drogą.

Tu terôz zdôwało sę ju bëc wszëtko — a jednak jesz nié. Czegos téj zemi bëło brak. To téż chodzëł Pón Bóg i rozmyszlôł, czego be tu jesz bëło potrzeba.

Rôz, kiéj wôżné sprawë zmuszałë Pana Boga do upuszczeniô tego miłégo zakątka, tak sę tym zajiscył [11]), że wëszedł na nôwëższą górę, co to na sztôłt wieżë nad kaszëbską krainą króleje, żebe sobie całosc jesz rôz obezdrzëc [12]) I objął okem całosc i uceszył wzrok swój pięknem kaszëbskij zemi a téj tak mu sę cężko zrobiło, że ję muszi opuszczac, że łza zakrącëła sę w Jego boskim oku i letko po licu skulnęła sę na zemię.

A wéj! Stôł sę nowy cud! Z téj łzë, co to wëkrysztalëła sę z boskiéj troski, powstôł człowiek! I tego to téż, jako swojégo môłégo włôdarza i zastępcę, ostawił na tym môlu i Sóm, uspokojony odszedł.

Tak to sę nalôzł pierwszy człowiek na Kaszëbach! Tak to powstôł pierwszy prôwdzëwy Kaszëba!

Że nalôzł sę na zemi, co wiele przeciwnosców w sobie łączy, sóm nimi przeszedł. Że powstôł z łzë, przezto i ta nie je jemu cëzô, bo nigdë, przenigdë zdrzódła łzów nie wëschną.

Ale tak, jak téj, kiéj Pón Bóg, uspokojony o dalszy los téj krainë, tę opuscył, bo wiedzôł, że eni jedna Jego łza nie je straconô, tak téż i człowieczô łza leno przemywô oko dlô jasniéjszégo widzeniô tego, co przindze.

Objaśnienia wyrazów:

[1]) = ugory; [2]) = zapomniany; [3]) = chłodem zioła morzył; [4]) = badyle; [5]) = spojrzeniem; [6]) = trąba, fujarka; [7]) = daje się słyszeć i odbija echem; [8]) = północnej; [9]) = bursztynowe; [10]) = trochu; [11]) = zasmucił; [12]) = obejrzeć, zobaczyć.

Wymowa:

ë — podobne do „e" w franc. „le"
é — podobne do franc. „é"
ô — bardzo tylne „o", przechodzące w „ö".

Dane o utworze: Czas ukazania się: grudzień 1940, okres wzmożonego wysiedlania Kaszubów z gospodarstw i masowego najazdu „Balten- i Wolhyniendeutschów". Miejsce ukazania się: Gdynia, „Deutsche Werke, Kiel A. G. — Neue Werft — Weselerstr.", pod bokiem straży zakładowych. Ilość przebitek na papierze światłoczułym: 25 egz. Wykonawca techniczny: Alfons Tissler z Postołowa, powiat gdański.

JAN DOBRACZYŃSKI

Literatura znaczy granice

„Komu tedy to wszystko co z morza i co pomorskiego zawdzięczamy?" — pisał niegdyś Adolf Nowaczyński. — „Kto przechował przez stulecia niewoli pamięć i tradycję o morzu, o Gdańsku, o dominium maris Baltici? Kto szeptał do ucha skrępowanego Łazarza: — **memento mare?** Kto podtrzymywał tlący płomieniek w popiołach i tego także znicza? Czy polscy mężowie stanu, statyści, wielcy prowodyrzy warstw górnych, hetmani, lub trybuni ludu, czy wodzowie powstań, naczelnicy, generałowie? Czy Lubecki i Wielopolski, Skrzynecki, Dwernicki, Mierosławski lub Traugutt, namiestnik w Poznaniu, Radziwiłł czy Gołuchowski we Lwowie, Ziemiałkowski, Bobrzyński, Biliński? Politycy dzielnicowi, politycy realni, praktyczni, obdarzeni „constructive states - manship"? Czy myślami swoimi w ciemnej erze niewoli wybiegał choć jeden z nich poza koliska dzielnicowe, zaborowe, tak daleko, żeby sięgnął imaginacją aż do brzegu morskiego? — Otóż, nie! Żaden! Nad podtrzymaniem iskierek znicza nadmorskiego starali się, nad światłem w nadbrzeżnej latarni czuwali, postulat — po stu latach odgrzebany — stale przypominali tylko i wyłącznie ludzie pióra, intelektualiści, uczeni, badacze, szperacze, historycy, literaci, poeci, publicyści, mole książkowe, ludzie wiedzy i ludzie imaginacji i wyobraźni".

Cytata długa jak tasiemiec, ale warto ją przytoczyć. Bo rzeczywiście, jeśli kto w Polsce wołał o morze, morza pragnął i do morza tęsknił, to tym kimś byli **ludzie pióra.** Nie znaczy to wcale, aby brakło pamięci o morzu wśród polityków i mężów stanu. Ci jednak — najczęściej — patrzyli na morze, jak na sakramentalne „okno na świat", port eksportowo-importowy, zajmowali się dźwigami, stoczniami, myśleli o zapleczu, czyli po polsku „hinterlandach", dłubali w cyfrach ton i kilometrów. Ale o morzu, jako o morzu, myślało się mało. O tym morzu, o którym powiada Conrad, że jest „potężnym lekarstwem", o tej wielkiej płaszczyźnie wód, która ma właściwość wychowywania człowieka. Gdzieś pisze Maurras, że potężne są tylko narody, które wychowały morze lub góry. Płaszczyzna nie wychowuje człowieka. **Morze tylko i góry są żywiołem, z którym się walczy.** Więc też ku morzu wędrować trzeba — bodaj tak, jak wędrował ku niemu Piotr Wielki z siekierą cieśli okrętowego na ramieniu, jak szli ku niemu, dalekiemu oceanowi — śladem Jermaka — jasnowłosi zdobywcy, którzy przeskakiwali cieśninę Beringa, zwiedzali Aleuty, docierali do wysp Hawajskich, czy do wybrzeży Kalifornii.

Niestety — gdy wiek XIX-ty jest wędrówką najpotężniejszych narodów świata ku Pacyfikowi, gdy największy z oceanów staje się dziś „jeziorem historii", podobnym do morza Śródziemnego w starożytności i w średniowieczu — u nas dopiero budzi się świadomość, czym jest morze. **Czy to nie jest tragiczne, że gdy o morzu do niedawna mówiliśmy, to tylko po angielsku — z Conradem, lub po niemiecku z Przybyszewskim?** Nie oni pierwsi. Gdy jeden z największych grafików świata XVIII-ego wieku, gdańszczanin **Chodowiecki,** wybrał się w 1773-im roku z Berlina do Gdańska, opisał swą wycieczkę — po francusku. **Maurycy Beniowski,** jak twierdzą jego biografowie, prawie w ogóle po polsku mówić nie umiał.

Tak bywało, ale na szczęście nie zawsze. Pływał po oceanie „Pan Balcer", na dalekim zaś morzu świeciła latarnia, w której żył nieszczęśliwy wygnaniec. Tylko, **że to morze u Konopnickiej i Sienkiewicza,** choć już j e s t, stanowi jakąś jakby zaporę i tragiczne oddalenie, a nie drogę w świat. Odcina nas ono od kraju, jest „siłą fatalną" przestrzeni i tęsknoty, oddala, nie zbliża, jest obce, zimne i dalekie, nie nasze, nie polskie — ot, takie czyjeś tam morze, o którym plótł Rej, że „bodaj tam nikt dobry nie bywał".

Coś się jednak zmieniło. W 1904-ym roku napisał Nowaczyński swego „Fryderyka". Znakomity dramat. Jednak nie o dramat tu chodzi, lecz o morze. **Właśnie w tej oto sztuce Nowaczyńskiego jest mocne, twarde żądanie morza.**

Literatura w Polsce była niejednokrotnie ambasadorką polskiej polityki zagranicznej. Jaka tam w 1879-ym roku, w dobie Bismarcka i „kulturkampfu", mogła być mowa o polskości Pomorza, kiedy pisał Jarosz Derdowski swój poemat „O panu Czorliscim co po sece do Pucka jechoł"? Tak samo w 1904-ym roku. Któż mógł wtedy mówić o Gdańsku, jak mówił o nim Mickiewicz: „miasto, niegdyś nasze — będzie znowu nasze"? O Gdyni, co była wtedy małą wioską, o Fromborku, gdzie ślady genialnego kanonika wydrapywali niemieccy „kulturträgerzy", by na ich miejsce wypisać ur-szwabskie, tępe jak niemiecka filozofia, imię Koppernigk, — o Szczecinie, co to miał na wieki zostać Stettinem, i o Koszalinie, który jakaś germańska zaraza przechrzciła na Koeslin? Tymczasem nie! **Dramat Nowaczyńskiego znowu obudził sprawę.**

A potem Żeromski — grzebał się w papierach i księgach, wydobywał z pyłu starych bibliotek zapomniane klejnoty wiedzy o morzu. Oglądał fotografie. Śledził mapy. Jeszcze morza nie widział, a już je czuł. Zanim na Wybrzeże przyjechał, zakończył swą „Urodę życia" akordem, w którym była pełna zapowiedź „Wiatru od morza". Na Rozłuckiego, wyłowionego z morza rozbitka, spojrzeli oficerowie cesarskiej „Kriegsmarine". To było odwieczne spojrzenie — Smętka. Można by powiedzieć, że wtedy to, w 1911-ym roku, wystrzeliły po raz pierwszy armaty nasze o polskie Westerplatte, o ten szmat wybrzeża, który dlatego, że stanowił część tylko całości, który dlatego, że był wyrzutem sumienia, a nie pełnowartościowym zwrotem zagrabionego morza — stał kością w gardle, mniejsza o to: cesarskich, republikańskich, czy dyktatorsko-hitlerowskich Niemiec. Skrawek ziemi, skrawek wybrzeża. Ale o to wybrzeże, wiadomo było — **będziemy się bić.**

Przychodzi tu na myśl Szekspir, gdy mówi ustami Hamleta:

„...kochałem Ofelię!
Tysiąc by braci z całą swą miłością
nie mogło memu wyrównać uczuciu.
Cóżbyś ty dla niej uczynił?
...Mów, do pioruna, mów cobyś uczynił?
Jesteś li gotów płakać, bić się, pościć?
Dać się rozedrzeć?Rzekę wypić do dna?"

Ta rzeka, to Wisła: — „woot drink up Weissel?", — której nie wiadomo dlaczego tłumacz (Paszkowski) nie wymienił, a której nie wypił nawet zwycięski Fortynbras.

O ten skrawek ziemi, o tę jedyną niemiecką nazwę, której nawet sprawiedliwość dziejowa nie wymaże z mapy, walka szła zawzięta:

„W Gdańsku staliśmy tak, jak mur,
gwiżdżąc na szwabską armatę,
teraz wznosimy się wśród chmur,
żołnierze Westerplatte".

(Gałczyński).

Rozszerzyła się. Nie wróciłby stary Kołobrzeg do swego prawowitego imienia, gdyby nie ten nadto łatwy triumf nad Westerplatte! Ale znowu, zanim poczęły jeszcze strzelać karabiny, rozpoczęła się walka o Szczecin i Kołobrzeg.

To o Wołyniu i o Jomsborgu mówi „Saga o Jarlu Broniszu" **Grabskiego.** Ta książka, pisana w pierwszych latach wojny, jest nie tylko powieścią historyczną. Jest także manifestem wojennym. Dzieje Świętosławy — Sigridy Dumnej, siostry Chrobrego, dzieje morskiego wybrzeża po ujście Odry, po to ujście, gdzie dziś „kroczy Rzeczpospolita w morskich kąpać się kudłach" **(Szewczyk),** ożywia nie tylko przeszłość. **To jest historia przyszłości.** Historia na opak. Nie tego, co było, ale tego co będzie. Co być musi!

Nie inaczej pisze A. Gołubiew w swej powieści. Nie inaczej pisałem sam, w zniszczonej potem w płonącej Warszawie, powieści: „Ottonowe obietnice". Nie mogę się tu powstrzymać, aby nie zacytować sceny ze swego dramatu, powstałego w pierwszym zarysie jeszcze przed wybuchem wojny. Jest to sztuka historyczna z XIII-ego wieku. Jeden z aktów przedstawia wesele księcia wielkopolskiego, Przemysława II-ego, późniejszego króla, z Małgorzatą Askańską.

Albrecht III (książę Askański, ojciec Małgorzaty): — Słuchaj tylko, Przemysławie. Wiesz przecie, że Mściwoj pomorski ledwo już zipie. Śmierć mu niedługo pisana. Synów nie ma. Więc jego ziemie ktoś odziedziczyć musi.

Otton IV: — Król szwedzki nimi włada.

Przemysław: — Co ma król szwedzki do mówienia o tej ziemi?

Albrecht: — To samo właśnie mówię. Ta ziemia jest cesarska.

Przemysław: — Wcale nie! Ta ziemia jest moja!

Albrecht: — Ależ...

Otton: — Gadanie! Nas Mściwoj prosił o pomoc, gdy toczył spór z Wartysławem.

Przemysław: — A wyście mu jej ładnie udzielili: Konrad ukradł Gdańsk, ty zaś Starogard!

Plotzke (rycerz krzyżacki): — Zdobył, zdobył, książę. Książęta nie kradną, ale zdobywają.

Konrad (szwagier Przemysława): — Krewniaku, hamuj swe ostre słowa!

Przemysław: — Czemu mam je hamować? Mieczem przecież wydarłem ci z paszczy ziemie posagowe Konstancji. Gdańsk zdobyłem. A ze Starogardu uciekałeś ty, Ottonie, przede mną, aż się kurzyło!

Albrecht: — Zięciu, nie obrażaj mego brata!

Przemysław: — Czy go obrażam, gdy mu przypominam, że mi pola nigdy nie dotrzymał?

Powieść Grabskiego, Gołubiewa, czy też moja, to zapiski **idącej historii.** Każdy z nas dzięki tajemniczej władzy, jaką w człowieku stwarza sztuka, każdy z nas wiedział, **że zbliża się chwila walki o morze — o szerokie Polskie Morze.** Uciekłszy z niewoli niemieckiej zimą 1945-ego roku, ukrywałem się przez kilka tygodni w prześlicznym Drawsku (Dramburg). To tam widziałem, jak się wizja zamienia w rzeczywistość. Słyszałem ją z ust pomagających nam się ukryć antyhitlerowskich Niemców: — starego „kammratha", właściciela fabryki szczotek, jego córki oraz małej piekarzówny, Irki Schade (Burgstrasse 33), która nam szeptała w ucho (jeszcze gestapo i esesowcy łazili po ulicach):

— Ja wiem, że teraz wy tutaj będziecie. I będzie porządek.

Nie wiem, czy już opuściła Polskę złotowłosa Irka Schade, ale chętnie bym jej na pożegnanie podziękował za to, że pierwsza wypowiedziała wobec mnie **prawdę idącej historii.**

Miał rację Nowaczyński. Sztuka i wiedza są mędrsze, niźli „szkiełko i oko" mężów stanu. One bowiem **tworzą** historię, sztuka zaś ją **przewiduje.** Oni zostawiają za sobą murowaną czy drewnianą ojczyznę. Wprawdzie artyści budują tylko „szklane domy", ale bez tych szklanych domów nie ma domów — mieszkalnych. Naturalnie, między zwidem pisarza a lepką gliną męża stanu jeszcze jedno być musi. To, co wytycza granice: — k r e w.



Powrót z połowu

EDWARD FISZER

PRZEJAZDEM W SŁUPSKU



Człowiek w skafandrze

Do Słupska jędzie się w towarzystwie pięknego krajobrazu. Ledwie szosa wyprowadzi za gdyńskie przedmieścia, już naprzeciw przybysza biegną brzozy, niby panny w białych sukniach.

Przez długie kilometry wędrują z tobą te dziewczęce drzewa, a wkrąg dalej i dalej — poprzez łąki szerokie — spotykasz gęste lasy, rozhuśtane na falistych widnokręgach. Niekiedy leśne wzgórza odskoczą w bok drogi na tyle, że marcowy podróżnik widzi plamy bladego fioletu na soczystej zieleni sosen. To gołe korony liściastych zagajników — samotne wysepki w morzu igliwia. Owe wysepki nizinnej flory ostrzegają przed złudzeniem podgórskich okolic i każą pamiętać, że na tej pomorskiej glebie dąb i olcha mają prawa obywatelskie, niegorsze od iglastej większości.

Często asfaltowy gościniec pędzi wprost środkiem boru, a wtedy sucha miedź liści, opadłych zeszłą jesienią, aż chrzęści w oczach. Czasem znowu trakt kluczy po nagłych zakrętach i przed wzrokiem podróżnych odsłania niespodziane wdzięki przymorskiej krainy; tu strumień, wlokący po dnie tratwy chmur, ówdzie wysoka kępa krzewów, przyrosła do szosy, jeszcze chwila, a torfiasta równia błyszczy z daleka wiosennym rozlewiskiem.

A tam co? Ni łąka, ni step, a przecież... Tak, to jeszcze ściernisko po żniwach. Olbrzymia połać. Im głębiej w kraj, tym większe pola świecą wyblakłą golizną po zeszłorocznej kośbie. Leżą odłogiem sam na sam z melancholią pochmurnej niedzieli. Na pocieszenie pojawi się gdzieniegdzie uprawne poletko, ale znać, że w tych stronach jeszcze broni na lemiesze nie zdążyli przekuć. Po rowach graciarnia żelastwa — upamiętnia paniczny szlak odwrotu potomków Zygfryda, a może szlak janczarii pruskiej, wychowanej z kilku tubylczych pokoleń. Drogę odwrotu nawet dzisiaj dotkliwie odczuwają auta, kierowcy, pasażerowie. Szczególnie od Lęborka asfalt pokaleczono do cna. Szofer nasz prowadzi wóz, niczym cyrkowy rower, mimo to podskakujemy co chwila na siedzeniach.

— Samoloty pościgowe biły celnie — twierdzę, po każdym trafieniu głową w dach samochodu.

Do Słupska jednak dowieźli mnie żywcem. Miasto od razu budzi sympatię. Trzy mosty nad Słupią zapraszają ze spalonych przedmieść do ocalonego centrum. Kalisz, nie Kalisz? Bo rzeka podobna do Prosny, tylko że Słupia prześciga Prosnę bystrością. I gdyby nie domy — rzadkie zresztą — z czerwonej cegły, myślałbyś, że jesteś w mieście środkowej Polski.

Stoimy na pięknej szerokiej ulicy Popławskiego, podobnej do prostokątnego skweru. Jest ciche, świąteczne popołudnie. Spacerują uczniowie szkoły wojskowej, przemykają przez aleję chichocące dziewczęta, trzymając się za ręce. O prowincjo błogosławiona! Nawet gdyby ostatni przechodzień zniknął w sieni, jeszcze pełna będziesz, ulico, dostojnego spokoju, ludna starymi drzewami, zdrowsza od lekarstwa na nerwy!...

Odwiedzam jednego z tutejszych dygnitarzy. Mieszka chyba wytworniej od ministra. Z przedpokoju melduje gości służąca. W gabinecie ludzi nie widać z głębokich klubowców. Rozmowa nadziewana galanterią. Co słowo, ukłon (: „wy tam w Gdańsku, my tu w Słupsku"). Mija ceremonialny kwadrans. Dygnitarz dłonią markuje ziewanie. Znowu następują ukłony, padają cennę uwagi o bezcennym czasie — i pan domu wraca do niedzielnej drzemki, my zaś szukamy zabytków w stylu „Chiquity", „Hotelu Franciszkanów", „Bristolu" lub „Gospody włóczęgów".

Trzeba z uznaniem podkreślić, że twórcy słupskiej nomenklatury obdarzeni są zdrową fantazją. W nazwach ulic mało tu znajdziesz szablonów, wiele zaś bliskich sercu i uszom imion, jak ulica Piekielna, Piekiełko, Filmowa itp. Głowy słupskiego zarządu miejskiego pomyślały słusznie, że wystarczy polskie brzmienie ulicy, aby wiadomo było, jaka nacja mieszka. Po co nadużywać wielkich imion, jak to się dzieje gdzie indziej?

Ulicami sunie samotny tramwaj — żywy symbol sprawności władz municypalnych. Jeżeli dąsasz się na dzisiejszą komunikację, jedź do Słupska. Konduktor tramwaju powita cię z honorami, a wóz przyśpieszy z radości. Bo tramwaj słupski, jak Zagłoba: tłoku nie lubi, ale cieszy się, skoro znajdzie towarzysza podróży.

W ogóle miasto przywykło do dystyngowanych manier. W miejscach rozrywkowych przestronno i okazale. Pusto? Tak, jednak niedawno miejscowość ta nosiła pretensjonalny przydomek „małego Paryża". Z przejęciem opowiada o tym gospodarz hotelu, restauracji i dancingu zarazem:

— Panie, jeszcze trzy miesiące temu było tu istne Eldorado. Wszystkie stoliki zajęte. Tędy ciągnęły szabrownicze pochody. Teraz puchy. Przed wojną kwitła tu stolica junkerii okolicznej. Bawili się przejezdni z Gdańska i Szczecina, pan rozumie, interesy handlowe. Niedaleko stąd Postomin, letnisko, port, plaża, więc odbywano wypady do Słupska na tutejsze dancingi.

Szaber, dancingi — a co było przedtem? Knajpiarz nie sięga pamięcią poza drzwi swego lokalu. Jutro dowiem się więcej. Idę korytarzem hotelowym. Na ścianie wisi gobelin. Mitologiczne amorki z łukami i kołczanami towarzyszą nimfom o renesansowych kształtach. Towar widocznie nie rynkowy, skoro oszczędziły go ręce rabusia.

W poniedziałek kroczę środkiem dużego, czystego rynku w kierunku ratusza. Z boku wznosi się pomnik Armii Radzieckiej. Ratusz przypomina zamek krzyżackiego komtura, chociaż liczy właściwie tylko pięćdziesiąt lat. Wewnątrz, na kondygnacjach parteru i pięter, kolumny z czerwonej cegły rozgałęziają się w strop malowankami kwiatów. Po obu stronach wejścia wiszą dwa dobre obrazy: scena z targu miejskiego i z portu w Postominie.

Naczelnik Wydziału Kultury i Sztuki, Łada-Cybulski, pokrótce zaznajamia mnie z przeszłością miasta. Czerpie przy tym ze źródeł niemieckich, które są najdobitniejszą propagandą słowiańskiego Słupska. Szperamy w szacownym dziele: **„Codex Pomeraniae Diplomaticus"** — wydawnictwie z roku 1846.

Słupsk — czytamy dosłownie: „Slup (die Saule)". Niemcy wnioskują, że wbito w tej okolicy graniczne słupy, choć inni doszukują się też źródła nazwy w przydomku miejscowego księcia Wenedów. Zostawmy rozstrzygnięcie historykom. Dość, że **Słup urósł w Słupienice, a następnie w Słupsk.**

„Codex" m. inn. z wielkim szacunkiem wzmiankuje o jednym z miejscowych książąt: — „illustris princeps Barnim". Zdumiewające, dlaczego Niemcy byli tak grzeczni wobec pomorskiego „barbarzyńcy"? Dlaczego do ostatnich czasów zarówno w Słupsku, jak i Szczecinie, zachowali nawet — Barnimstrasse? Rzecz wyjaśnia się szybko. Z dalszej lektury wynika, że ów Barnim szedł z Niemcami po prostu — na kolaborację. Ot, taki staroświecki Hacha. Podarował Niemcom wiele wsi i osad, stąd sympatia. Trzeba jednak dodać — Barnim wyrodził się z linii książąt słupskich. W większości ciążyli oni ku królom polskim. I tak n. p. podczas gdy szczeciński hufiec walczył pod Grunwaldem po stronie krzyżackiej — słupski trwa przy Jagielle.

Przy historycznych wspominkach rozmowa przechodzi z kolei na zabytki. Opiekuńcze ręce ob. Bukowskiej zewsząd ściągają obecnie eksponaty do miejscowego muzeum. Sama budowla muzeum, to średniowieczna brama, sklepiona nad ulicą w kilka pięter.

Ważę w ręku ozdoby kobiece z epoki żelaznej. Obrączki na ramiona, mniej więcej po kilogramie każda. I miej tu żonę z epoki żelaznej! Podziwiam też jakiś gdański dukat z wizerunkiem Sobieskiego. Czyste złoto. A co przechowuje się w salach muzeum? Urny. Nie skusiły one praktycznego poszukiwacza złotego runa, dlatego — ocalały.

Szkoda, że podczas działań wojennych pożar zniszczył starą dzielnicę miasta. Grube odrzwia bram oddzielały tu uliczkę od uliczki. Średniowiecze kryło się za każdym załomem. Dzisiaj, gruzy.

Zamek z XIV-go wieku nie grzeszy wykwintem i surowo wita turystę w obszernych, nieprzytulnych komnatach. Wojna mocno go poszczerbiła. Wieżę czarownic również. Zły los nie ominął kaplicy św. Jerzego wraz z wszystkim, co średniowieczny architekt zwykł był budować w książęcym grodzie. Przecież miasto z dawien dawna szczyciło się dworskim charakterem. Nie dość, że długo rezydowali tu książęta zachodnio-pomorscy z bocznej linii. Nawet wdowy po panujących na Szczecinie mężach chętnie zjeżdżały do Słupska na stały pobyt. Żałoba żałobą, jednak dwór żył tu polowaniem, ucztą i zabawą.

Obecnie miasto liczy dwadzieścia pięć tysięcy mieszkańców. Polaków przeszło 50 procent. Rosną oni w liczbę z każdym dniem, wbrew twierdzeniom miejscowych knajpiarzy. Fale szabrownicze odpływają bezpowrotnie. Pustoszeją wprawdzie restauracyjne stoliki, zaludniają się natomiast warsztaty. Korsarze lądowi wzięli, co mogli i znikają jak brudna piana. Stały mieszkaniec urządza się na dobre. Dzieci chodzą do szkół. Poza wykształceniem ogólnym, uczelnie słupskie obdarzają wychowanków umiejętnościami fachowymi: kupiecką, handlową, ogrodniczą, stolarską itp. W mieście powstał Uniwersytet Powszechny wcześniej niż w innych zachodnio - pomorskich miejscowościach. (Tak samo gazownia miejska; pierwsza ruszyła ona w Słupsku, a więc nie tylko tramwaj).

Nacz. Łada-Cybulski opowiada mi na pożegnanie o swych planach. Nakreśla je z rozmachem. Już teraz gra teatr, i to ambitny teatr. Na afiszach czytam nazwiska Nicodemiego, Huxley'a, Fredry, Verneuille'a. Wkrótce zorganizowany zostanie w Słupsku Dom Kultury. Obecnie odnawia się salę Miejskiej Rady Kultury. Po prostu zeskrobuje się ze ścian białą farbę, spod której ożywa bogate malarstwo ścienne: — akty feudalnych nadań, sceny rycerskie i myśliwskie.

Ostatni raz przemierzam śródmieście, wstępuję do hal targowych. Atmosfera bliźniacza do warszawskiego straganiarstwa na Poznańskiej z tą tylko różnicą, że w Słupsku jarmarczna wesołość ogranicza się do stolików loteryjnych, gra wróżebnymi kolorami kart i śpiewa z trampem-kuplecistą na melodię Czility:

> Aj, aj, aj, aj,
> nieszczęsne dni Sodomy —
> duce z Hitlerem zrobili kaput,
> Japonię zgubiły atomy.

Zawróciłem w głąb spalonego średniowiecza. Po jezdni turkocą wiejskie furki. Kiedyż nareszcie przywiozą coś z dzisiejszych ugorów?

Zawoalowana gęstym bluszczem, zjawia się przede mną świątynia romańskiej urody. To kościół N. Marii Panny. Wnętrze — jeden śmietnik. Cofam się z żalem. Podobno z kazalnicy kościelnej zrobiono strzelnicę. Ongiś ksiądz strzelał z niej słowem, później żołnierz ołowiem. Można i tak, dziś jednak muzeum pomieściłoby i ten zabytek.

Po drodze chcemy jeszcze odwiedzić znajomych w pobliskiej wiosce. Nie zastajemy ich jednak, niestety, w domu.

— Dokąd wyjechali?
— Na dziki.
— Polują?
— Polują.

Wsi swobodna, wsi myśliwska! A my jutro musimy do biura. Tęsknym okiem żegnam za Słupskiem szybko znikające lasy.

Gdańsk, marzec 1946 r.

BOLESŁAW KUŹMIŃSKI

Bandera bez ojczyzny

Dziwna bandera pojawiła się ostatnio w portach polskich. Widzimy ję nieomal codziennie; w ruchu statków wysuwa się na czołowe miejsce.

Jest to tzw. „Bandera aliancka C", ustanowiona dla statków poniemieckich, będących pod zarządem aliantów. Pojawiła się ona na szlakach morskich po raz pierwszy zaledwie przed kilku miesiącami. Zszyta jest z pięciu podłużnych pasów o kolorach: niebieski-biały-czerwony-biały-niebieski.

Zamiast na zwykłym miejscu, na flagsztoku, zwisa ona tylko na lince sygnałowej przy przednim maszcie. Swiadczy to, że statek nie ma prawnej przynależności państwowej — jest statkiem bezpańskim, a powiewająca pod masztem bandera jest banderą bez ojczyzny.

Gdy po pierwszej wojnie światowej niemiecki tonaż handlowy był częściowo zabrany przez aliantów, to natychmiast przechodził pod banderę jednego z krajów sprzymierzonych, albo pozostawał pod banderą niemiecką. Obecnie jest inaczej. Rządu niemieckiego, ani państwa w sensie prawa międzynarodowego nie ma — nie ma też i godła państwowego, jakim jest na morzach bandera.

Alianci zastosowali więc prowizorium — wprowadzili nową banderę, która właściwie, w sensie prawa morskiego, nie jest banderą, ale raczej występuje na okres przejściowy jako oznaka specjalna. Z tych względów nie jest wywieszana na flagsztoku, tylko na lince przymasztowej.

Ustanawiając nową banderę i dobierając dla niej kolory, kierowano się solidarnością międzyaliancką, weszły bowiem do niej zasadnicze kolory trzech mocarstw zwycięskich: — biały (angielski), niebieski (amerykański) i czerwony (radziecki).

Po konferencji pokojowej, były niemiecki tonaż handlowy zostanie podzielony, poszczególne statki otrzymają bandery tego państwa, któremu będą przyznane. Wówczas zginie z mórz świata i ze statystyk portowych dziwna sezonowa bandera.

Do niedawna notowana ona była tylko w porcie gdyńskim, później spotykamy ją w porcie gdańskim i szczecińskim. W rocznikach portowych Gdyni i Gdańska, w rozdziałach omawiających udział poszczególnych bander w ruchu portowym, zajmie ona chwilowo jedną z pierwszych pozycji, ale już w następnym roku zginie nie tylko ze statystyk portowych, ale także ze statków. Jak dziś jest widomym znakiem klęski Niemiec, utraty państwowości i wyeliminowania tonażu niemieckiego z transportu morskiego, tak niebawem pozostanie wspomnieniem tylko, być może nie uwidoczniona nawet w tablicach międzynarodowych bander morskich.

Nie wiemy, jaką banderę wprowadzą u siebie Niemcy po przyznaniu im charakteru prawno-państwowego. W okresie od pierwszej wojny światowej zmieniali ją trzykrotnie. Pierwsza Rzesza miała kolory czarno-biało-czerwone, druga Rzesza złoto-biało-czerwone, wreszcie trzecia Rzesza wprowadziła znany wszystkim, a tak znienawidzony „Hakenkreuz".

Obecnie, butna do niedawna załoga statków niemieckich, pływa pod banderą bez ojczyzny. Musi czuć się nieswojo pod „niczyimi" barwami. Statek będący pod konwojem żołnierzy alianckich podobny jest do miniaturowego obozu pracy.

Jako dla marynarzy mamy dla nich współczucie, ale jako dla Niemców — nie. Zasłużyli całkowicie na pływanie pod zdeklasowaną, niczyją banderą — banderą bez ojczyzny.



Widok wybrzeży południowej Anglii, wzdłuż których podczas ostatniej wojny prowadził szlak konwojów, atakowanych nieustannie przez niemiecką flotę podwodną i samoloty

WITOLD KISZKIS

STUTTHOF PRZED SĄDEM

Na rozprawie, odbywającej się obecnie w Gdańsku przeciwko piętnastu osobom, oskarżonym o zbrodnie w Stutthofie, ogłoszony został niezmiernie charakterystyczny dokument. Jest to wyciąg z zarządzenia gauleitera Forstera do podległych mu organów NSDAP, wydanego we wrześniu 1939-tego roku. Dokument ten podajemy w dosłownym brzmieniu:

„Tylko dla osobistego użytku.

Wytyczne dla postępowania niemieckich oddziałów na okupowanych zachodnio-pruskich terenach.

Nie zwracać uwagi ani na prośby ani na propozycje Polaków, nie respektować polskich zarządzeń i nie okazywać żadnego pobłażania.

Szczególnie niewygodnych Polaków natychmiast izolować. Za podstawę może służyć nowowydane zarządzenie o granicach.

Polskie szkoły, o ile są możliwe do użytku, zamknąć i natychmiast tam otworzyć szkoły niemieckie.

O ile to jest możliwe, odprawiać nabożeństwa w niemieckim języku. Księżom zwrócić uwagę, że w razie stwierdzenia wrogiej propagandy, nastąpi interwencja.

Polską inteligencję przodującą, do której zaliczam przede wszystkim nauczycieli, księży, wszystkich akademików i ewentualnie kupców, skoszarować i internować.

Poleca się, o ile to się jeszcze nie stało, pobrać zakładników w większej ilości, by w razie, gdyby stwierdzono podstępną akcję Polaków przeciwko Niemcom, można było ich natychmiast rozstrzelać. Jest wskazane, aby po rozstrzelaniu tych zakładników ogłoszono o tym, ażeby odstraszyć innych.

Polecam raz jeszcze, i kładę to na sercu podległym władzom, że w stosunku do Polaków należy postępować bezwzględnie.

Kto rabuje, broni i radia nie odda, uprawia sabotaż, próbuje ucieczki, nie chce pracować itd., winien być zastrzelony. Bezsensem jest okazywanie jakichkolwiek względów."

Treść dokumentu nie wymaga żmudnej analizy. Końcowy ustęp, wyszczególniający, kogo należy mordować, bynajmniej nie przesadza w ściśle sprecyzowania. **Był on formalnym uprawnieniem do zabicia każdego Polaka.**

Mało tego. W rozkazie czytamy: „kładę to do serca podległym władzom, że w stosunku do Polaków należy postępować bezwzględnie". „Bezsensem jest okazywanie jakichkolwiek względów". To już nie są tylko drakońskie zarządzenia czasu wojennego. Tu sięga się po serce i poczucie sensu u podwładnych. **To są zalecenia natury dogmatycznej.**

Rozkaz gauleitera Forstera nie jest sporadycznym wyskokiem jednego sadysty. Jest konsekwencją i wyrazem filozofii i religii systemu. Etyczne „prawdy" objawiał Berlin lub jego zaufani, a masy miały je przyjmować. Nie wymagało się od „wiernych" rozumowania, nikt się nie trudził, by je uzasadniać. Bierne fizycznie i psychicznie masy niemieckie przyjmowały te „prawdy" i w zupełności je adaptowały. Religia, jak to zwykle religia, przychodziła z objawienia, a wskazania praktyczne w życiu codziennym wypływały z niej same. Trzeba było tylko zostać szczerym wyznawcą.

I oto pojętni wyznawcy nauczali. **W Stutthofie był trzytygodniowy kurs przeszkoleniowy dla młodych dziewcząt niemieckich, przyszłych dozorczyń więźniarek w obozach.** Zasiadające na ławie oskarżonych w procesie gdańskim Niemki, opowiadały o tym kursie przed sądem. Wanda Klaff zeznała, że uczono je, iż więźniarki **należy bić i znęcać się nad nimi, gdyby zaś od bicia którakolwiek zmarła, nie będzie przez to żadnej straty, bo właśnie chodzi o to, by jak najwięcej więźniów wyniszczyć.** Inna z oskarżonych, Jenny Barkmann, zeznała: „Uczono nas, aby nie żałować więźniów-Słowian, bo narody słowiańskie to chwasty, które trzeba niszczyć".

To były nowe, wysunięte już w czasie wojny, zalecenia w odniesieniu do Słowian. Zasady praktycznego postępowania z Żydami były sprecyzowane już dawniej. Przypomniano o nich zresztą i na kursie. Rozumiemy stąd, dlaczego najpierw w Niemczech, a później na ziemiach polskich, wyrastały Oranienburgi, Stutthofy, Majdanki. Zadaniem tych obozów nie było bynajmniej wykonanie jakiejś określonej pracy, lub izolowanie na czas wojny niepewnego elementu. **Głównym ich celem było zniszczenie możliwie największej ilości ludzi, szczególnie Słowian (Polaków i Rosjan) oraz Żydów.**

Literatura o niemieckich mordowniach obozowych jest już dosyć bogata. Obecnie, nasza prasa codzienna zamieszcza obszerne relacje o krew mrożących w żyłach potwornościach w Stutthofie. Przykładowo przypomnijmy o jednej z nich. Grupę dzieci, oderwanych od matek, trzymano przed straceniem w obozie przez cały dzień. Dzieci zdawały sobie sprawę, że idą do pieca. Matki wiedziały o tym również. Przez cały długi dzień matki i dzieci patrzyły na siebie przez druty....

Na ławie oskarżonych w Gdańsku zasiadają w tej chwili nie aranżerzy obozu, nie ideologowie i rozkazodawcy. **Znajdują się tam pionki od „czarnej roboty" — podpachołki katowskie.** Pobudki ich działania nie są zbyt skomplikowane, psychika nie jest zawiła. Wszyscy bez wyjątku SS-mani, dozorujący więźniów, bili i mordowali. Który by z nich postępował inaczej, byłby odesłany, jako nienadający się do pracy w obozie, na front. Okazuje się, że wśród **„narodu rycerzy" było bardzo wielu takich, którzy za wszelką cenę pragnęli uniknąć frontu.** Toteż do obozu wyselekcjonowały się elementy najbardziej wyzute z poczucia godności ludzkiej i wszelkiego humanitaryzmu. Ich dewizą było: **popełnić każdą podłość, byle tylko nie narazić na szwank swej cennej skóry.**

W procesie stutthofskim zasiada na ławie oskarżonych jeden przedstawiciel tego typu ludzi, szef SS-manowskich straży, **oberscharführer Pauls.** Oskarżony jest o strzelanie do więźniów. Trzyma się z pewną godnością, na pytania odpowiada rzeczowo, krótko, po żołniersku. Współtowarzyszami jego na ławie oskarżonych są: sześć wolnych Niemek - dozorczyń i ośmiu byłych więźniów.

Wszystkie Niemki, SS-frauen, przeszkolone na katowskim kursie, oskarżone są o znęcanie się nad więźniarkami. Jak te sentymentalne Gretchen znalazły się w obozie? Przecie nie ze strachu przed frontem. Kobiet do linii nie mobilizowano. Przed sądem tłumaczyły się, **że zostały skierowane z urzędów pracy(!).** Ale od funkcjonariuszy obozowych wymagano specjalnego typu uzdolnień, nie nadający **się musieli pójść gdzie** indziej. A zatem — wykazały posiadane **uzdolnienia.** Jeden rzut oka na twarze oskarżonych kobiet tłumaczy sprawę.

Oto **Wanda Klaff.** Jest niska, krępa, pękata. Oczu prawie nie widać, tylko napuchnięte szparki. Twarz nalana, żółta, odrażająca. **Gerda Steinhoff** — wysoka, tęga bestia, twarz ma wydłużoną, o podwójnym podbródku, ponury wyraz, rybie oczy głęboko osadzone, biegające, niespokojne, usta mocno zaciśnięte. **Elżbieta Becker, Ewa Paradies i Erna Beilhard** mają również wypisane grubymi rysami na twarzach wyzucie z wszelkich uczuć ludzkich. **Barkmann** sprawia zewnętrznie raczej dodatnie wrażenie. Jest pulchna, żywa, często uśmiechnięta, ma regularne rysy, dba o swój wygląd, często zmienia uczesanie. Jest jednak, jak dotąd, najbardziej przez świadków obciążoną spośród koleżanek. W obozie nazywano ją: **„piękny upiór".** Znęcała się nad więźniarkami: z okrucieństwem i sadyzmem, biła nawet mężczyzn. Pewne rozwiązanie jej psychicznej sylwetki można by znaleźć w uderzającym braku inteligencji. Zeznania jej w sądzie ograniczają się przeważnie do odpowiedzi „tak", lub „nie". Niektórych pytań w ogóle nie rozumie, nawet na pytania bardziej ogólniejszej natury nie umie odpowiedzieć. W ogólności sprawia wrażenie popychadła, które w ręku energicznej osoby mogłoby być użyte do każdego celu.

To byli oskarżeni — Niemcy, ludzie wolni, spełniający swe niezaszczytne funkcje z polecenia władz wojskowych, bądź urzędów zatrudnienia. Reszta oskarżonych, to więźniowie, którzy czymś zwrócili na siebie uwagę władz obozowych i otrzymali funkcje bądź **„blokowych"** (starszych porządkowych bloku), bądź **„kapów"** (starszych w zespołach robotniczych). Przy pełnieniu tych funkcyj odznaczyli się specjalnym okrucieństwem. Świadkowie w procesie zgodnie stwierdzają, że tym, co **najczęściej doprowadzało więźniów do samobójstwa, nie był koszmar pracy i głodu, nie było wciąż grożące widmo śmierci w komorze gazowej, lecz wyczerpanie nerwowe wskutek bicia i wymyślnych szykan ze strony sprawujących rozmaite funkcje współwięźniów.**

Niestety, na ośmiu z tej kategorii, siedmiu legitymuje się narodowością polską. Szczególnie obciążony jest **Wacław Kozłowski,** przed wojną rzeźnik z Gdyni. **Odrażająca postać. Dobrze odżywiony, rumiany, z wąsikiem.** Jest to „najkrwawszy ze wszystkich kapów". Akt oskarżenia zarzuca mu **popełnienie przeszło stu morderstw „na ochotnika".** Jeden ze świadków utrzymuje, że Kozłowski był wprost chory, jeżeli któregoś dnia nie zamęczył na śmierć kilku osób.

Mordować więźniów również mieli **Jan Preiss,** wyblakły bokser z Bydgoszczy, typowy podmiejski zawadiaka, człowiek obdarzony nieprzeciętnym temperamentem i **Jan Brajt,** również z Bydgoszczy. Ten ostatni ma rysy regularne, trzyma się sztywno, po żołniersku, jest krępy, bardzo opanowany. Zarzuca mu się szczególne okrucieństwa: **miał dusić i topić współwięźniów,** poza tym jako sanitariusz zaszczykiwał truciznę chorym. Eingedeutsch **Reiter,** szczupły, wysoki brunet, najbardziej ponury spośród oskarżonych, o wybitnie asymetrycznej twarzy, oskarżony jest także o dokonanie w sposób najbardziej bestialski kilkudziesięciu morderstw na współwięźniach. To byłyby „asy" z ławy oskarżonych; reszcie zarzuca się bicie i znęcanie się nad współwięźniami.

Żaden ze zbirów nie przyznał się przed sądem do popełnienia morderstw bezpośrednio, **tłumacząc swe okrucieństwa spełnianiem rozkazów.** Oczywiście, podobne rozkazy mogły być i na pewno były wysuwane, **ale musiały znaleźć także chętnych wykonawców.**

Świadkowie — więźniowie z obozów utrzymywali, że zdarzało im się spotkać także ludzkich „kapo" i „blokowych". Tamci potrafili jakoś przeciwstawić się żądaniom. Lecz gdy np. razu pewnego Kozłowski asystował przy kąpieli partii Żydów, to taką im sprawił „łaźnię", że nawet SS-mani interweniowali, żeby było — ciszej.

Oto są sylwetki tych, których ustrój hitlerowski dobrał i wydźwignął na pierwszy szczebel władzy. Zachodzi pytanie, co tych ludzi skłoniło do przyjęcia katowskiego rzemiosła i uprawiania go z upodobaniem? Front im nie groził, a jak utrzymują bezpośredni obserwatorowie, za wysługiwanie się Niemcom też niewielu ulg mogli się spodziewać, poza ochłapami. Nie ma innego wytłumaczenia: — **dno moralne wyselekcjonowało swą „elitę".**

Osobliwego zaiste autoramentu była ta z piekła rodem hitlerowska religia, której kapłanami byli tacy Forsterowie, a ministrantami Kozłowscy, Brajtowie i kursistki ze Stutthofu.

ZBIGNIEW WRÓBEL

INSTYTUT ZACHODNI

Powstały tajnie w okresie okupacji niemieckiej Instytut Zachodni jest społeczną instytucją naukowo-badawczą. Zadaniem jego jest badanie całokształtu stosunków polsko - niemieckich pod względem nie tylko historycznym. Badania te i ich wyniki łączy Instytut z palącymi potrzebami życia praktycznego. W ten sposób historia i publicystyka zlewają się tu w jedną całość. Obecnie, rzecz zrozumiała, zajmuje się Instytut przede wszystkim zagadnieniami Ziem Odzyskanych, wnosząc cenny wkład w dzieło obrony polskich interesów nad Odrą i Bałtykiem. **Jego członkowie i współpracownicy poświęcają również dużo uwagi sprawom morskim, zwłaszcza, jeśli łączą się one ze Szczecinem, lub wyspami położonymi przy ujściu Odry.**

Instytut powstał w najmniej korzystnych warunkach, w czasie okupacji, poprzedzającej okres formowania się nowej rzeczywistości polskiej. Wyniki pracy uczonych krakowskich i poznańskich, prowadzonej (często z narażeniem się na niebezpieczeństwo) w okresie zmagań całego narodu z odwiecznym wrogiem, publikowane są obecnie przez Instytut, stanowiąc **kontynuację tej walki w obronie naszych interesów nad Bałtykiem i nad Odrą.**

W okresie sześciu miesięcy nakładem tej ważnej placówki naukowej ukazało się 15 publikacyj w formie książek i broszur, o łącznym nakładzie 100.000 egzemplarzy. Wydawane przez Instytut czasopismo „Przegląd Zachodni" wszechstronnie naświetla problem granicy zachodniej, z którym wiąże się ściśle sprawa ukształtowania się naszych granic morskich; bada całą problematykę historyczno-kulturalną Ziem Zachodnich z Pomorzem Zachodnim włącznie i systematycznie omawia aktualne aspekty zagadnienia niemieckiego.

Praca Instytutu Zachodniego toczy się w sekcjach: prehistorycznej, prawniczej, dokumentacji zbrodni niemieckich, onomastycznej, etnograficznej oraz w sekcji poświęconej obserwacji współczesnych przemian zachodzących w Niemczech. Wśród członków Instytutu, na czele którego stoi jeden z najlepszych naszych historyków, prof. Uniwersytetu Poznańskiego dr Zygmunt Wojciechowski, wymienić należy: odkrywcę Biskupina prof. Kostrzewskiego, wydawcę „Slavia occidentalis", prof. M. Rudnickiego, znakomitego znawcę prawa administracyjnego prof. St. Kasznicę i in.

Chociaż Instytut poświęca swą uwagę przede wszystkim ziemiom i zagadnieniom nadodrzańskim, mimo to, każdy z nas, interesujący się sprawami polskiego morza, znajdzie również w jego publikacjach wiele cennego materiału. Wymienić tu należy przede wszystkim książkę prof. Zygmunta Wojciechowskiego pt. **„Polska — Niemcy. Dziesięć wieków zmagania"**, wykazującą, że w okresie pierwszych siedmiu wieków niemiecki „Drang nach Osten" skoncentrowany był przede wszystkim na odcinku polskiego Pomorza. Odcięcie Polski od Bałtyku było w planach niemieckich pierwszym krokiem do zniszczenia narodu polskiego, pierwszy zaś rozbiór Polski to — jak stwierdza prof. Wojciechowski — zajęcie Pomorza Zachodniego.

Dr Zdzisław Kaczmarczyk w swej obszernej pracy o kolonizacji niemieckiej na wschód od Odry, obszernie omawia zagadnienia, związane z akcją germanizacyjną między ujściem Odry i Wisły. W sposób zwięzły, wyczerpujący i objektywny napisane są wartościowe broszury M. Kiełczewskiej i A. Grodka pt. **„Odra — Nisa, najlepsza granica Polski"** oraz Kiełczewskiej, Glucka i Kaczmarczyka **„O lewy brzeg Odry"**. Zasługują one na użycie w akcji propagandowej za granicą, mając za cel uzasadnienie naszych rewindykacji terytorialnych nad zatoką Szczecińską.

Ważnymi pozycjami wydawniczymi Instytutu Zachodniego są **„Documenta Occupationis Teutonicae"** oraz praca dr. Lehr-Spławińskiego **„O pochodzeniu i praojczyźnie Słowian"**. Jeśli chodzi o sprawy morskie, nie można pominąć szkicu gospodarczego pióra Jana Zdzitowieckiego pt. **„Bałtyk"**. Zwięźle, przejrzyście, a zarazem starannie opracowana ta broszura omawia położenie i zaplecze morza Bałtyckiego, dając przy tym zarys stosunków gospodarczych na jego wybrzeżach, ze szczególnym uwzględnieniem podziału zawodowego ludności, stanu rolnictwa, hodowli, leśnictwa, przemysłu, górnictwa i handlu zagranicznego. W końcowym rozdziale, zatytułowanym „Bałtyk jako droga handlowa", omawia autor stan floty handlowej państw bałtyckich oraz ich porty.

Wśród zamierzeń wydawniczych wymienić należy prace J. Staszewskiego **„Wojsko polskie nad Bałtykiem w dobie wojen napoleońskich"** i J. Mitkowskiego **„Pomorze Zachodnie w stosunku do Polski"**, jako najbardziej związane z zagadnieniami, którym nasze pismo poświęca szczególną uwagę.

Już ten pobieżny przegląd działalności Instytutu Zachodniego pozwala stwierdzić — bez zabawy w proroctwa i tanie pochwały — że spełnia on w istocie w wysokim stopniu zadania stojące przed nauką polską, a związane z najważniejszymi zagadnieniami chwili bieżącej.

EDWARD MARTUSZEWSKI

INSTYTUT BAŁTYCKI

W bieżącym roku mija 20 lat od chwili założenia w Toruniu Instytutu Bałtyckiego, stawiającego sobie za cel naukowe badanie zagadnień pomorskich i bałtyckich z punktu widzenia ekonomicznego i kulturalnego.

W okresie kilkunastu lat przed wybuchem drugiej wojny światowej Instytut gromadził i przechowywał materiały naukowe, odnoszące się do spraw bałtyckich, opublikował wyniki badań w szeregu wydawnictw naukowych i popularyzujących, utrzymywał pracownie, biblioteki, zbiory i pomoce naukowe dla dalszych badań, organizował odczyty i zebrania dyskusyjne.

Wydawnictwa tej placówki dzieliły się na następujące serie: Dominium Maris, Balticum, Zjazdy Pomorzoznawcze, Bibliografia Pomorska, Monografie Wsi Pomorskich, w sumie 326 prac naukowych i 150 komunikatów. Oprócz tych pięciu serii wydawnictw wydał Instytut 21 tomików publikacji popularno-naukowych w języku francuskim i angielskim na tematy historyczne, polityczne, ekonomiczne i geograficzne oraz czasopisma „Jantar" i „Baltic Countries". Prace te były bardzo cenione za granicą i spotykały się z wielkim zainteresowaniem.

Oprócz celów czysto naukowych Instytut Bałtycki stawiał sobie zadanie przeciwdziałania rewizjonistycznej propagandzie niemieckiej. Również pod tym względem zasługi jego są bardzo duże. W sposób naukowy zbijane były przez wydawnictwa Instytutu argumenty nauki niemieckiej, mające utorować Niemcom drogę do akcji rewindykacyjnej wobec Polski. Można stwierdzić, że Instytut dobrze zasłużył się w walce obronnej z niemieckim Drang nach Osten.

Z chwilą rozgromienia Niemców i rozszerzenia morskich granic Polski zmienił się częściowo zakres jego prac. Powiększyły się znacznie zadania stojące przed działami: Pomorzoznawczym w Bydgoszczy i Morskim w Sopocie. Stworzony został ponadto dział Skandynawski.

To, że Związek Radziecki rozszerzył znacznie swą granicę morką na Bałtyku, wnosi nowe elementy do prac Instytutu. Dyrektor dr Józef Borowik, bawiąc w ubiegłym roku w Moskwie, nawiązał w imieniu Instytutu bezpośredni kontakt z wieloma radzieckimi ośrodkami i placówkami naukowymi, zajmującymi się zagadnieniami geografii, ekonomii, żeglarstwa i oceanografii. J. Borowik udał się następnie przez Szwecję do Londynu, aby nawiązać przerwane w czasie wojny stosunki naukowe z angielskimi i skandynawskimi pokrewnymi instytucjami.

Ostatnio zorganizowane zostało w Sopocie pod egidą Instytutu Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Szwedzkiej. Powstanie jego przyczyni się bez wątpienia do ułatwienia prac Instytutu.

Wojna szczególnie boleśnie dotknęła Instytut Bałtycki. Pierwsze miesiące po odzyskaniu niepodległości musiały być poświęcone rekonstrukcji i organizowaniu się. Przedwojenna biblioteka tej placówki uległa rozproszeniu i tylko około 5.000 książek odnaleziono w piwnicach Biblioteki Miejskiej w Gdańsku. Instytut stanął więc wobec konieczności budowania swoich bibliotek od podstaw. Akcja w tym kierunku dała pozytywne wyniki. Biblioteka Instytutu w Sopocie jest już dostępna dla wszystkich, którzy interesują się zagadnieniami morskimi, lub potrzebują do swej pracy naukowej odpowiedniej literatury.

Gospodarcze Archiwum Morskie w Sopocie, będące częścią Instytutu, przystąpiło we wrześniu do wydawania komunikatów na najbardziej ważne tematy bieżące. Do chwili obecnej ukazało się 13 numerów tych komunikatów — następne w druku. Poza tym, wydanych zostało 15 komunikatów działu Informacji Naukowej Wydziału Pomorzoznawczego w Toruniu, mapa komunikacyjna Pomorza, mapa podziału administracyjnego Pomorza, mapa obrazująca topografię Prus Wschodnich oraz książka St. Srokowskiego pt. „Główne liczby nowej Polski". Biuro prac kongresowych przygotowuje na konferencję pokojową szereg prac, omawiających najważniejsze problemy polskich ziem i granic na zachodzie. W styczniu br. ukazała się broszura dr. Olszewicza o nomenklaturze miejscowości ziem odzyskanych. W Sopocie powstał oddział Imiennictwa, mający za zadanie odniemczenie nazw miejscowości na terenie byłego Wolnego Miasta Gdańska za pośrednictwem Głównej Komisji Imiennictwa Polskiego w Krakowie oraz odpowiednich ministerstw.

Jak na krótki okres pracy w warunkach szczególnie ciężkich, jest to poważny dorobek naukowy. Obecnie Instytut przygotowuje do druku kilkanaście publikacji, dążąc do wypełnienia luki w badaniach naukowych, wywołanej przez wojnę i okupację niemiecką. Biuro Studiów Morskich gromadzi materiały do pracy o osiągnięciach Polski na morzu w 1945 roku, przygotowuje projekt morskiego prawa handlowego dla Departamentu Ustawodawczego Ministerstwa Sprawiedliwości. Podręcznikiem dla szkół będzie „Życie Morza", zaś „Składniki transportu morskiego" przeznaczone będą dla użytku studentów Wyższej Szkoły Handlu Morskiego. W opracowaniu znajdują się książki na temat dziejów Pomorza Wschodniego i Gdańska w czasach nowożytnych, na temat dziejów Mazowsza pruskiego i marynarki polskiej oraz mapa glebowa Pomorza Wschodniego.

Instytut wchodzi obecnie na drogę normalnej pracy naukowej, finansowanej przez sześć ministerstw: Żeglugi i Handlu Zagranicznego, Oświaty, Ziem Odzyskanych, Spraw Zagranicznych, Rolnictwa oraz Administracji Publicznej. Odremontowany zabytkowy dom opatów pelplińskich stanie się siedzibą Instytutu, tworząc zaczątek przewidzianej w planach odbudowy Gdańska małej dzielnicy naukowej. Dom ten pomieści w swych murach również bibliotekę Instytutu.

Dotychczasowe prace, szczególnie z okresu ostatnich kilku miesięcy, pozwalają przypuszczać, że rozwijając swą świetną tradycję przedwojenną, stanie się Instytut jednym z filarów naszej kultury.

ADAM ALTSCHILLER

Pasażerowie na morzu

Historia żeglugi handlowej wykazuje w swoim dotychczasowym rozwoju trzy wielkie okresy transportu ludności drogą morską. W przebiegu swym odegrały one epokową rolę, tak pod względem populacyjnym, jak i kulturalnym, państwowo-twórczym, politycznym, cywilizacyjnym i ekonomicznym.

Niepokojeni przez swoich sąsiadów **Fenicjanie,** opuścili w liczbie 30.000 brzegi swej ojczyzny, przenosząc się do Libii w płn. Afryce. Założyli tam fundamenty pod Kartaginę, która — jak wiadomo — odegrała w historii starożytnej doniosłą rolę, jako państwo morskie. Transport tej masy ludzkiej w czasach, w których morze Egejskie było oceanem świata, należy do wyczynów — bez precedensu. Jako wzór, nie znajduje on bardzo długo naśladowców. **Aż 2.000 lat upłynęło, zanim bohaterowie wielkich odkryć dorównali Fenicjanom, pionierom żeglugi handlowej.**

W IV-tym wieku po narodzeniu Chrystusa rozpoczynają się prawie tysiąc lat trwające **podróże pielgrzymów z Europy zachodniej do Ziemi Świętej.** Okres ten położył podwaliny pod rozwój właściwej żeglugi pasażerskiej. Statki z pielgrzymami wyruszały przeważnie z Wenecji i Marsylii, które przez cały ten okres utrzymały się, jako główne punkty zborne dla żeglugi do Ziemi Świętej, w szczególności: do portu Saint Jean d'Acre. Nawet zdobycie Jerozolimy przez Arabów w 637-ym roku nie wpłynęło na wstrzymanie lub zmniejszenie tego ruchu, Arabowie bowiem, podobnie jak chrześcijanie, uważając to miasto za święte, nie przeszkadzali tu pielgrzymom w wykonywaniu praktyk religijnych. Największe nasilenie tego ruchu przypadło około 1000-ego roku w czasie, kiedy według przepowiedni miał ukazać się na ziemi Zbawiciel, aby zbudować swoje państwo.



W słońcu — na wachcie

Statki z pielgrzymami były zazwyczaj przepełnione, mimo, iż w początkowej fazie warunki przejazdu pozostawiały wiele do życzenia, a za przejazd pobierano dosyć wysokie opłaty w złocie. Pasażerów umieszczano zarówno na pokładzie, jak i wewnątrz statku, miejsce zaś, jakie każdy z nich otrzymywał, było możliwie najwęższe. Spali ramię przy ramieniu, jeden obok drugiego. Każdy zabierał pożywienie ze sobą. Tylko na wyspach morza Egejskiego można było prowiant uzupełnić. Zresztą, reguła postów wybitnie pomagała w rozwiązaniu problemu aprowizacyjnego w czasie podróży. W wypadkach choroby nie zajmowano się pielgrzymem, pozostawiając go własnemu losowi lub opiece współtowarzyszy podróży. Jedynym więc dla niego lekarstwem była modlitwa, ratunkiem — Opatrzność i łaska boska.

Stosunki takie trwały długo i dopiero, gdy stały się zbyt głośne, wprowadzono pewne ulepszenia. Władze zamianowały specjalnych urzędników portowych w Marsylii i Wenecji (observatores passagii), którzy badali zdatność statku do podróży morskiej, byli przy tym obecni przy zaokrętowaniu pielgrzymów i otaczali ich opieką. Przedsiębiorcy okrętowi musieli się rejestrować i po złożeniu odpowiedniej kaucji otrzymywali koncesje.

Do masowego ruchu pielgrzymów doszedł jeszcze w końcu XI-go wieku **przewóz rycerzy krzyżowych.** Kiedy jednak z końcem XIII-go wieku zakończyły się wyprawy krzyżowe i chrześcijanie opuścili swoje ostatnie placówki na wybrzeżu Palestyny, ustały też i podróże pielgrzymów.

Zapoczątkowane pod koniec XV-go wieku wielkie odkrycia stworzyły drugi, trwający kilkaset lat okres masowych transportów ludzi morzem. Tym razem chodziło o murzynów. Przewożono ich z Afryki zachodniej statkami, należącymi do prawie wszystkich narodów morskich Europy. Na ogół na morzu dobrze się z nimi obchodzono i należycie ich odżywiano. Czyniono to nie tyle z poczucia humanitarności. Był to towar, który po długiej podróży morskiej miał być sprzedany na rynku w różnych stronach nowoodkrytego świata, musiał więc „dobrze wyglądać".

Zanim doszło wreszcie do formalnego zakazu handlu niewolnikami (w 1840 r.), **zapoczątkowany został trzeci okres podróży morskich na wielką skalę.** Oto przedstawiciele wszystkich narodów europejskich tłumnie opuszczali stary świat, aby stać się obywatelami nowej półkuli.

Wiek XIX-ty rozpoczął równocześnie erę wielkich wydarzeń. Historia żeglugi handlowej notuje w tym czasie przejście z konstrukcji drewnianej do żelaznej. Żaglowiec znajduje na morzu konkurenta w statku parowym. **Mimo rozwoju techniki, do połowy XIX-go wieku pasażerów przewożono jednak wyłącznie żaglowcami.** Dominującą rolę odegrały tu względy ekonomiczne oraz przesądy w stosunku do wynalazków.

Trzeba przy tym dodać pewną „ciekawostkę". Pierwszy rejs parowca „Savannah" nie wyglądał zachęcająco. Parowiec ten przebył w 1813-ym roku trasę z amerykańskiego portu Savannah do Liverpoolu w ciągu 26-u dni, lecz 8 z tych dni — pod żaglami. W żagle zaopatrzone były zresztą wszystkie parowce w początkach swego istnienia. Przy wzmożonych kosztach rejsu parowcem i przy wszystkich przesądach — chętniej z dwojga złego wybierano starą podróż żaglowcem.

Toteż w portach zachodnio-europejskich, włącznie z angielskimi, tłoczyły się masy ludzkie, starając się otrzymać miejsce na statku, koniecznie pod żaglami. Nieraz wyczekiwano w porcie tygodniami, tak wielu było chętnych do wyjazdu.

Żaglowiec posiadał wówczas **dwie klasy pasażerskie:** droższą **kabinową** i tańszą, **międzypokładową.** Pierwsza mieściła się w tylnej części statku (na rufie), druga zaś w jego środkowej części. Na dziobie znajdowały się pomieszczenia dla załogi. Kabinowa była klasą komfortową, obliczoną na przewóz mniejszej ilości pasażerów. Znajdowała się ona zasadniczo w jednym dużym pomieszczeniu. Kabiny były tu uszeregowane pod ścianami, w każdej zaś znajdowały się co najmniej cztery łóżka (koje), dwa dolne i dwa górne. Prymitywna umywalnia z lustrem, wiadro z wodą, skromny dywanik, zasłony przy łóżkach, lampa naftowa, tworzyły całkowite urządzenie. W środku wspomnianego pomieszczenia znajdowała się wspólna jadalnia — długi stół z krzesłami. O pomieszczeniach towarzyskich jeszcze wtedy nie pomyślano. Dopiero w połowie XIX-ego wieku niektóre statki wprowadziły jako inowację — salon dla pań.

Osobliwą atrakcją była tzw. kabina kąpielowa. Przy burcie statku ustawiono po prostu trzy ściany drewniane, a między nimi — balię. Kabina ta często była też używana przez pasażerów jako palarnia, wewnątrz statku panował bowiem zakaz palenia. **Pierwszą prawdziwą łazienkę zbudowano dopiero w 1863-im roku na jednym ze statków angielskich,** jak głosi prospekt z ówczesnych lat towarzystwa Cunard Line.

Wyżywienie dla ówczesnych pasażerów było obfite, chociaż monotonne. Odżywiano ich wędzonym i solonym mięsem, rybami, grochem, fasolą, serem i chlebem, do picia zaś dawano im pod dostatkiem wina i wody, która się jednak szybko psuła, gdyż podróż — nawet w sprzyjających warunkach — trwała co najmniej czterdzieści dni. Obsługę stanowili: kucharz, steward, stewardessa.

Tańsza klasa, międzypokładowa, nie posiadała w ogóle kabin, lecz kilka dużych pomieszczeń, oddzielnych dla mężczyzn i dla kobiet. **Wspólnie podróżujące rodziny były rozdzielane.** Łóżka stawiano ciasno jedno obok drugiego, trzy do czterech nad sobą. Męką było do takiej koi położyć się, lub z niej się wygramolić. Często kończyło się to nabiciem guza. Pasażerowie przynosili żywność ze sobą i oddawali ją prowiantowemu według ustalonych norm. Tylko część żywności mogli zatrzymać przy sobie. I wtedy tolerowano to niechętnie z powodu nadmiaru robactwa na statku.

Do dyspozycji pasażerów stawiano ogniska i naczynia kuchenne. Niewiasty gotowały i wykonywały wszelkie prace gospodarskie. Mężczyźni zajmowali się sprzątaniem, czyszczeniem wszystkich pomieszczeń i roznoszeniem jadła. Gdy pogoda sprzyjała, pasażerom wydzielano jedzenie na pokładzie, w przeciwnym razie jadano przy stołach w tym samym pomieszczeniu, gdzie sypialnia.

Rygor na statkach panował wojskowy, gdyż były one przeważnie przepełnione, pasażerowie zaś należeli do różnych narodowości i różnych wyznań religijnych. Nie dziw, że odmienność ich charakterów, dążeń i pragnień wymagała żelaznej dyscypliny.

Wszystko to było jeszcze do zniesienia, jak długo w podróży dopisywała pogoda. Gdy jednak wichura zaczęła miotać statkiem, rozpoczynało się — piekło. Ludzie, zamknięci w międzypokładzie, przeżywali wtedy okropne chwile. Podczas burzy zamykano nieraz na przeciąg kilku dni wszystkie luki, prowadzące do międzypokładu, co przy braku świeżego powietrza wytwarzało potworne warunki podróżowania. Pogarszał je i odór — wszakże ludzie cierpieli na chorobę morską.



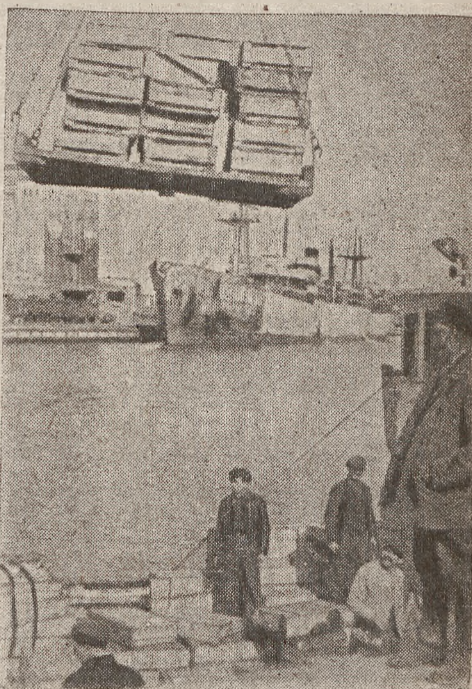
Uczniowie Państwowej Szkoły Morskiej — przyszli kapitanowie statków

Długo, bo mniej więcej do 1870-ego roku, utrzymał się żaglowiec w walce konkurencyjnej z parowcem, jako główny środek transportowy mas ludzkich. W drugiej połowie XIX-ego wieku wyzbyto się nareszcie przesądów, z jakimi spotkało się wprowadzenie na statkach maszyny parowej. Coraz częściej pokazują się odtąd (już oczywiście bez żagla) parowce na wodach północnego Atlantyku, głównej trasie żeglugi pasażersko-handlowej.

Pod naciskiem państw europejskich i amerykańskich, a szczególnie Stanów Zjednoczonych, jako też i ze względu na powstającą konkurencję licznych towarzystw okrętowych, przystąpiono ostatecznie do radykalnej zmiany warunków przejazdu pasażerów. Klasę międzypokładową z początku ulepszono, potem jednak zupełnie zniesiono. W miarę rozwoju techniki, doprowadzono w końcu warunki do takiego poziomu, że pod koniec ubiegłego wieku podróżowanie w najtańszej klasie należało do przyjemności w porównaniu z podróżowaniem uprzednio w najlepszych kabinach.

Szybkie przemiany, jakie dokonały się na statkach w pierwszych dziesiątkach lat naszego stulecia, są powszechnie znane. **Dzisiaj statki pasażerskie są najwyższym wyrazem techniki.** Kwitnie na nich komfort, który — jeśli nie przewyższa — to w każdym razie dorównuje najbardziej luksusowym hotelom lądowym.

Trzecia epoka masowych podróży morskich trwała, łącznie z emigracją do Ameryki, około 150 lat. Po pierwszej wojnie światowej została zamknięta przez wprowadzenie ograniczeń imigracyjnych ze strony Stanów Zjednoczonych. W każdym razie na tle tej epoki daje się zaobserwować wyraźny postęp w rozwoju żeglugi pasażerskiej. Ilustruje ona — jak widzimy — przy wybitnych ulepszeniach technicznych cenną zarazem kartę w dziejach cywilizowanego świata.



Przeładunek drobnicy w porcie gdyńskim

ANDRZEJ ODNOWA

NA SZLAKU MARYNISTYKI

W ramach zorganizowanego przez Wyższą Szkołę Handlu Morskiego w Gdyni cyklu odczytów o zagadnieniach morskich wykładali w ubiegłym miesiącu profesorowie Uniwersytetu Poznańskiego: Kazimierz Tymieniecki („Geneza i rozwój kultur morskich") oraz Roman Pollak („Morze w literaturze polskiej"). Poniżej zamieszczamy streszczenie prelekcji prof. R. Pollaka, b. rektora Uniwersytetu Ziem Zachodnich w konspiracyjnej Warszawie.

Niezmienny rytm przyrody i prac rolnych, cechujący życie polskiej przeszłości, wnosił spokój harmonii, ale i bezwolną bierność w duszę narodu. W tym zacieśnionym, polnym życiu brakowało elementu ryzyka i walki.

U początku samego naszych dziejów morze nie było obce polskim szczepom. **Gall Anonim** notuje w swej kronice pieśń rycerstwa Krzywoustego pod Kołobrzegiem. Pieśń to radosna. Brzmiało w niej upojenie rozszerzonymi o morze horyzontami ojczyzny. Jeszcze **Jan Długosz** u końca polskiego średniowiecza opisuje dotarcie po zwycięstwie grunwaldzkim konnego rycerstwa w rejon Gdańska i wesołe jego igry w morzu.

Ale w późniejszych czasach motyw morza, właszcza Bałtyckiego, staje się zupełnie sporadyczny. Zmienia się też ton uczuciowy. Wprawdzie trafiają się podróżnicy, którzy odbywają dalekie podróże gwoli przyjemności, wprawdzie tu i ówdzie wyrażają oni swój zachwyt, jest to jednak często dość konwencjonalny podziw dla mórz obcych, dla południowych lazurów.

Motyw Bałtyku towarzyszy przymusowym rozłąkom, jawi się dramatycznie z akompaniamentem strachu i grozy. Własne morze północy przedstawia się jako siła obca i wroga. Szlachcic polski trzyma się od niego — z dala. Wolno mu „nie wiedzieć co to morze, gdy pilnie orze".

Odeszliśmy od morza w erze nowożytnej pod każdym względem. W realnym, społeczno-gospodarczym sensie zamknął „okno na świat" arcyusłużny pośrednik i faktor szlacheckiej Polski — Gdańsk. W perspektywie literackiej zaciążyła nad nami tradycja rzymskiego stosunku do morza. Rzymskimi, przestraszonymi oczyma rolnika i wojownika lądowego, patrzyliśmy wtedy na rzeczywistość morską. Nic tu nie ma z radośnie bezpośredniego, greckiego olśnienia czarem Okeanosu.

„Z brzegu na morskie wały popatrzeć", oto i wszystko, na co zdobywał się polski szlachcic. Ważyć się na niepewności burzliwych fluktów, to już za wiele. Zresztą szlachcic niechętnie zsiadał ze swego konia. Tak np. **Jan Chryzostom Pasek** — skoro już poszedł za Czarnieckim do Danii, — wpław, ale konno, przebywał cieśninę Alsen. Egzotyczne odnosił wrażenia, oglądając dziwy dna morskiego. Kiedy indziej ogarniało go przerażenie w obliczu sztormu, czy szkwału.

Na tle swoistego „horror maris", jaki cechuje okres staropolski, dużą niespodziankę stanowi **Marcina Borzymowskiego** „Morska nawigacja do Lubeka", wydana drukiem w 1662-gim roku w Lublinie. Odkryty przez prof. Pollaka oryginalny egzemplarz tej książki (Biblioteka Narodowa w Warszawie), zaginął prawdopodobnie wśród ostatniej zawieruchy wojennej. Toteż bardzo szczęśliwa była inicjatywa wydania tego pierwszego polskiego poematu marynistycznego przez Gdańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauki i Sztuki w 1938 roku.

W ocalałym w ten sposób dla potomności tekście „Nawigacji" przemawia do nas prawdziwy, o artystycznych aspiracjach, poeta, który umiał obok groźnych burz morskich przedstawić również i stany pogody na morzu, a nawet wplótł w swój poemat wątek fabuły powieściowej.

Potem dopiero **Mickiewicza** można zaliczyć do naszych poetów morza. Jego sonety, jak np. „Cisza morska", „Żegluga", „Burza" powstały z wrażeń czarnomorskich. Mistrzowska plastyka i bogactwo rzutowanych na morze stanów duchowych czynią z „Sonetów krymskich" arcydzieło światowej poezji. Morze Czarne zostało unieśmiertelnione przez wielkiego polskiego poetę.

Morze Śródziemne opiewał **Słowacki** w „Podróży na Wschód". W sposób jedyny w swoim rodzaju wyczarował on w „Genezis z ducha" krajobraz pramorza — jakiegoś pierwotnego oceanu z jego florą i fauną.

Norwida popchnęła na morze konieczność i zawód życiowy. Płynąc do Ameryki musiał on ciężko pracować na statku. Dlatego motyw morza splótł się u niego znamiennie z poezją pracy.

Dla **Konopnickiej** („Pan Balcer w Brazylii") ocean Atlantycki jest smutnym tłem wędrówki emigranta i przejmującego odrywania się od ojczystej ziemi. Z morzami Francji i Italii, nawet z oceanem Indyjskim nawiązała łączność twórczość **Konopnickiej, Asnyka, Tetmajera.** Ale obce te morza jakże często zimne bywają w ich wierszach! Poeci nie czują ich.

Dziwna była dola marynistów w polskiej literaturze. W narodach morskich całe pokolenia wypracowują wspólnym wysiłkiem tradycje marynistyczne. W Polsce pisarze samotnie, w pojedynkę, ruszają na podbój morza. **Odrabiają zaniedbania całych wieków. Obecnie wytwarza się w naszej marynistyce linia genealogiczna.**

Skromnym literacko ale niezmiernie zasłużonym jest **Bernard Chrzanowski** ze swoją entuzjastyczną książeczką „Z wybrzeża i o wybrzeżu". Nie był on bez wpływu na **Żeromskiego,** wielkiego artystę, świetnego odtwórcę gry światła i ruchu fal morza Śródziemnego, Atlantyku (w „Popiołach"), przede wszystkim jednak literackiego twórcę narodowej legendy Bałtyku w „Wietrze od morza". Żeromski wprowadził swoją przedmową na polski rynek wydawniczy **Conrada,** największego w literaturze światowej poetę morza. Patronował też wzorowym przekładom tego pisarza, którego błogosławiony, ożywczy wpływ trwa dotąd bez przerwy.

W atmosferze tego wpływu wyrastało całe wolne już pokolenie polskich pisarzy marynistycznych. A być może, **że z pokolenia tego wyrośnie nowy Conrad, tym razem piszący — po polsku.**

JAN KUROPATWINSKI

Z Państwowej Szkoły Morskiej

Kmdr. Antoni Garnuszewski

Wzorem stuprocentowego, wszechstronnie wykształconego marynarza jest kmdr Antoni Garnuszewski, pierwszy dyrektor Państwowej Szkoły Morskiej.

Urodzony w 1880-tym roku, uczęszcza w Warszawie do szkoły średniej. W 1906-tym roku kończy wydział nawigacyjny w Szkole Morskiej w Odessie. Po uzyskaniu w rosyjskiej Marynarce Handlowej dyplomu porucznika żeglugi wielkiej, wstępuje w 1907-mym roku na wydział budowy okrętów politechniki w Petersburgu (Leningradzie), który kończy w 1912-ym roku z dyplomem morskiego inżyniera I-go stopnia. Wstępuje w tymże roku do rosyjskiej floty wojennej w charakterze podchorążego. W 1913-ym roku zdaje egzamin oficerski wraz z wychowankami Morskiej Szkoły Inżynieryjnej w Kronsztadzie. Po otrzymaniu stopnia podporucznika Korpusu Inżynierów Okrętowych zostaje wyznaczony na służbę do portu wojennego w Sweaborgu i Helsinkach, gdzie podczas pierwszej wojny światowej pełni kolejno obowiązki: inżyniera kontrolującego budowę nowych statków wojennych, zarządzającego technicznym biurem, później zaś dokami wymienionego portu.

Do Polski powraca w czerwcu 1918-go roku i od 11-ego listopada tegoż roku zostaje powołany przez Ministerstwo Komunikacji na stanowisko dyrektora wydziału ruchu Polskiej Żeglugi Państwowej na Wiśle, gdzie uruchamia tabor pływający, pozostawiony przez Niemców oraz organizuje przewóz żywności z Ameryki drogą wodną z Gdańska do Warszawy.

W marcu 1920-go roku na życzenie adm. K. Porębskiego **przechodzi do Departamentu Morskiego w celu stworzenia pierwszej w Polsce Państwowej Szkoły Morskiej z wydziałami: nawigacyjnym i mechanicznym. Na stanowisku dyrektora i profesora tej uczelni, która początkowo miała siedzibę w Tczewie,** pozostaje do sierpnia 1929-go roku.

W okresie od 1920-go do 1929-go roku przy szkole tej **organizuje kursy periodyczne dla morskich rybaków** oraz — w porozumieniu i na życzenie Kuratorium Okręgu Szkolnego Pomorskiego — **Szkołę Rzemieślniczą w Tczewie z wydziałami: ślusarskim i stolarskim.** W 1929-ym roku na własną prośbę zostaje przeniesiony do Urzędu Morskiego w Gdyni w charakterze naczelnika wydziału mechanicznego, później zaś administracji morskiej i zastępcy dyrektora, na którym to stanowisku pozostaje aż do zajęcia przez Niemców Gdyni w 1939-m roku.

W czasie okupacji pracuje wraz z kpt. Maciejewiczem na tartaku w Kluczkowicach (pow. Puławski), następnie zaś jako technik w fabryce K. Szpotański w Warszawie.

Po powstaniu w Warszawie, przebywszy obóz w Pruszkowie, zostaje wysiedlony na wieś do powiatu jędrzejowskiego. Po zajęciu wsi przez wojska radzieckie, udaje się do Lublina, gdzie otrzymuje zajęcie w Głównym Zarządzie Ligi Morskiej, od 1-ego marca zaś w Departamencie Morskim.

W maju r. ub. został powołany na naczelnika Wydziału Żeglugi Morskiej organizującego się Głównego Urzędu Morskiego w Gdańsku, na którym to stanowisku pozostaje dotychczas, pełniąc jednocześnie obowiązki wykładowcy budowy i teorii okrętu w Państwowej Szkole Morskiej w Gdyni.

Zasługi kmdra A. Garnuszewskiego są niezmiernie doniosłe. Wraz z dobranym przez siebie sztabem pedagogów morskich **wychował dobrych marynarzy**, jak śp. kapitanowie Stanisław Kosko i Zbigniew Deyczakowski, oraz kapitanowie ż. w. Ciundziewicki Stefan, Prokulski Jerzy, Zagrodzki Wacław, Meissner Tadeusz, inżynierowie Michał Kisielewski, Herman Jan oraz blisko setka innych kapitanów i mechaników okrętowych. **Zasługi jego, jako twórcy nowego typu uczelni, którą podniósł do rzędu jednej z najlepszych tego rodzaju na świecie, są tym większe, że tworzył tę szkołę z niczego.**



Kmdr. Gustaw Kański

Jedną z najbardziej świetlanych postaci Polskiej Marynarki Handlowej jest bezsprzecznie kmdr. Gustaw Kański, długoletni inspektor Państwowej Szkoły Morskiej, a ostatnio, przed wojną, Kapitan Portu w Gdyni. Ten wysokiego wzrostu dżentelmen, o srebrnych włosach, z króciutko przystrzyżonym wąsikiem, stanowi moralnie i fizycznie typ prawdziwego marynarza. Przyjrzyjmy się z bliska jego ciekawemu życiu.



Urodził się w 1882-gim roku na Wołyniu. Po złożeniu matury w 1902-gim roku wstępuje do rosyjskiej Szkoły Morskiej, którą kończy chlubnie w 1906-ym roku. Wstępuje wówczas do rosyjskiej Floty Ochotniczej, w której pozostaje od 1906-ego do 1908-ego roku. Odbywa wtedy wiele ciekawych podróży.

W 1916-tym roku, podczas pierwszej wojny światowej, zostaje samodzielnym kapitanem statku. Jedną z najciekawszych jego podróży była wyprawa na s/s „Tambow" na trasie Władywostok — San Francisco — Vancouver — Dairen. Stamtąd z wojskami rosyjskimi popłynął do Marsylii, do Salonik i znowu do Marsylii, skąd do Nowego Jorku i Archangielska. W sierpniu 1916-go roku statek jego oddany zostaje do dyspozycji Admiralicji Brytyjskiej, jako transportowiec amunicyjny. Odtąd Kański pływa na trasie Anglia — porty białomorskie. Trzykrotnie walczy z blokadą niemiecką.

Z dniem 2-go kwietnia 1918-go roku zgłosił się do armii polskiej we Francji. We wrześniu 1919-go roku przybył do Polski, gdzie oddał się do dyspozycji Departamentu Spraw Morskich przy Ministerstwie Spraw Wojskowych. **Z dniem 17-go czerwca 1920-go roku został mianowany inspektorem Szkoły Morskiej w Tczewie. Na tym stanowisku pozostał do 1-go sierpnia 1932-go roku.** Wówczas został mianowany szefem oddziału nawigacyjnego przy Urzędzie Morskim, zaś **dnia 1-go stycznia 1933-go roku Kapitanem Portu w Gdyni.** Na stanowisku tym zaskoczyła go wojna. **W pierwszych jej dniach zatopił on statki, które wówczas znajdowały się w porcie, blokując tym samym port gdyński przed wpłynięciem floty niemieckiej.**

W dniu 22-go października udał się z Gdyni do Częstochowy, gdzie przetrwał czas okupacji jako kierownik wydziału gospodarczego Robotniczej Spółdzielni „Jedność". W parę dni po oswobodzeniu Częstochowy zgłosił się do tamtejszej grupy operacyjnej. 8-go lutego został powołany do służby w Departamencie Morskim w Łodzi, a 17-go maja 1945-go roku mianowany inspektorem portów.

Przed wojną był członkiem komisji dyscyplinarnej przy Ministerstwie Przemysłu i Handlu, delegatem ministra Przemysłu i Handlu do Izby Morskiej, poza tym **członkiem Komisji Morskiej Terminologicznej przy Polskiej Akademii Umiejętności.**

Kmdr. Gustaw Kański jest autorem wielu niezwykle wartościowych prac naukowych z dziedziny nawigacji i praktyki morskiej. Obok inż Garnuszewskiego jest współtwórcą Państwowej Szkoły Morskiej w Tczewie, obecnie w Gdyni. Na stanowisku inspektora Państwowej Szkoły Morskiej taktem, wyrozumiałością, sprawiedliwością, wiedzą fachową umiał zdobyć sobie serca wychowanków, jak i powszechny szacunek.

Kpt. ż. w. Antoni Ledóchowski

Dwadzieścia pięć lat w służbie Państwowej Szkoły Morskiej: Tczew — Gdynia. W międzyczasie podróże szkolne. Dwadzieścia pięć lat „koncertowego" wdrażania nauk ścisłych w chciwe wiedzy głowy już nie jednostek, ale całego pokolenia młodych adeptów sztuki żeglarskiej. **Dwadzieścia pięć lat, to połowa jego życia. To ćwierć wieku, spędzonego w Państwowej Szkole Morskiej.**



Antoni Ledóchowski urodził się w 1895-tym roku na Morawach. Po ukończeniu gimnazjum OO. Jezuitów w Chyrowie, wstąpił do podchorążówki w marynarce austriackiej, a następnie do szkoły oficerskiej. W 1916-tym roku został porucznikiem. Podczas pierwszej wojny światowej pływał na krążowniku austriackim „Prinz Eugen", potem zaś na torpedowcach.

W pamiętnym 1918-ym roku, po rozpadnięciu się Austrii, por. Ledóchowski zameldował się w Warszawie u swego starszego kolegi, kapitana Nowotnego. Dekretem ówczesnego Naczelnego Wodza, Józefa Piłsudskiego, z dnia 12-go grudnia 1918-go roku **utworzona została przy Ministerstwie Spraw Wojskowych Sekcja Morska z kapitanem Nowotnym na czele. Wkrótce przerodziła się ona w Departament Morski. Por. Antoni Ledóchowski został do niej przydzielony. Na jesieni 1920-go roku przystąpiono do organizacji Szkoły Morskiej. Jednym z najbardziej czynnych jej twórców obok kmdrów Kańskiego i Garnuszewskiego był por. Ledóchowski.**

W 1922-im roku został jako kapitan przeniesiony automatycznie do Marynarki Handlowej. I od tej pory pcha ciężką taczkę codziennej pracy wykładowcy astronomii, kosmografii, nawigacji i matematyki. Jego jasny, zwięzły, a nade wszystko logiczny sposób wykładu sprawia, że nawet najmniej zdolni po paru lekcjach, stają się dobrymi uczniami. Wlewa ducha i życie w tak suche przedmioty, jakimi są na pozór nawigacja i matematyka.

Kpt. ż. w. Antoni Ledóchowski jest autorem prac naukowych pt. „Kosmografia", „Astronomia Żeglarska" (dwa wydania), „Kurs nawigacji" (trzy wydania) i „Dewiacja kompasu". Wszystkie te prace, za wyjątkiem pierwszej, przedrukowano ostatnio w Londynie.



Spokojny, uprzejmy dla podwładnych i uczniów, kpt. Ledóchowski, cieszy się zasłużoną sympatią i ogólnym szacunkiem tych, z którymi się bezpośrednio styka.

Kpt. ż. w. Konstanty Matyjewicz-Maciejewicz

Zdawało by się, że romantyczna epoka żaglowców od dawna należy do przeszłości. Tymczasem w rzeczywistości jest inaczej. Aby stać się dobrym oficerem na parowcu lub motorowcu, trzeba koniecznie przejść praktykę na żaglowcu.

Nasza młoda Marynarka Handlowa posiada własny żaglowiec szkolny „Dar Pomorza". Ma on za sobą romantyczną historię. Ze składek społeczeństwa pomorskiego został w 1929 r. zakupiony dla Polski Pierwszą jego nazwą było „Pomorze". Później przemianowano go na „Dar Pomorza". Przystosowany został do celów szkolnictwa morskiego.

Nie mniej ciekawe przygody, jak ów statek szkolny, przechodził jego pierwszy komendant — obecnie dyrektor Państwowej Szkoły Morskiej, kapitan ż. w. Konstanty Matyjewicz-Maciejewicz. Fakty z jego życia: urodził się w 1890-ym roku w Niemirowie na Podolu. Ukończywszy Oficerską Szkołę Morską w Petersburgu w 1911-ym roku, pływał następnie w rosyjskiej Marynarce Wojennej na krążowniku „Aurora" i na okrętach, przeznaczonych do szkolenia kadetów tej szkoły morskiej. Od 1913-go roku na krążowniku „Ruryk". Na pokładzie tego okrętu zastała go wojna światowa, na nim też otrzymuje pierwszy bojowy chrzest w walce z niemieckimi krążownikami „Roon" i „Augsburg".

W kampanii letniej 1915-go roku odkomenderowany został do petersburskiej Szkoły Morskiej, **jako dowódca szkunera „Musson".** W zimie 1915—1916-go roku ukończył Oficerską Szkołę Pływania Podwodnego.

Rewolucja w 1917-ym roku zastaje Konstantego Maciejewicza jako starszego **oficera na podwodnej łodzi „A. G. 15", która** w dniu 7-go czerwca tegoż roku zatonęła podczas ćwiczebnych zanurzeń. **Po 12-godzinnym pobycie na dnie, na głębokości 24-ch metrów, uratował się wówczas wraz z sześcioma marynarzami z załogi, wyrzucając się na powierzchnię morza za pomocą ściśnionego powietrza.** Po wydobyciu łodzi i jej odremontowaniu — dowodzi nią w dalszym ciągu. Zimą 1917 na 1918 r., w dniu, w którym w fińskim porcie Hangö lądowały oddziały niemiecko-fińskie, wysadzono łódź w powietrze, gdyż z powodu lodów nie mogła opuścić portu.

W 1919-ym roku, Konstanty Maciejewicz wstąpił, jako zwykły marynarz, na okręt handlowy. W 1921-ym roku repatriował się do Polski. Od 1-go lutego 1922-go roku pracuje jako wychowawca w Państwowej Szkole Morskiej w Tczewie. **W tym samym roku zostaje mianowany starszym oficerem na statku szkolnym „Lwów". W 1926-ym roku obejmuje jego dowództwo, w 1930-ym zaś roku zostaje kapitanem „Daru Pomorza".** Przeprowadzenie tego statku na holu z St. Nazaire we Francji do Naksckov w Danii obfitowało w wiele dramatycznych momentów. Statkowi groziło roztrzaskanie o skały bretońskie.

Po remoncie „Daru Pomorza" kapitan ż. w. Konstanty Maciejewicz odbywa na nim podróże szkolne, letnie — krótkie i zimowe — dalsze. **W latach 1934—1935 dokonał jedenastomiesięcznej podróży dookoła świata:** Gdynia — Kopenhaga — Teneryfa — Martynika — San Domingo — Kanał Panamski — Galapagos — Honolulu — Jokohama — Osaka — Nagasaki — Szanghaj — Hong-Kong — Singapore — Batawia — Broom (Zachodnia Australia) — wyspa Mauritius — Durban — Wyspa św. Heleny — Wyspa Wniebowstąpienia — Le Havre — Antwerpia — Gdynia.

Na statku „Dar Pomorza", jako kapitan, przebywał K. Maciejewicz do dnia 1-go czerwca 1938-go roku. Wówczas zdał statek swemu zastępcy, kapitanowi ż. w. Konstantemu Kowalskiemu. Sam objął w gdyńskiej Szkole Morskiej stanowisko kierownika kursów wyszkoleniowych dla marynarzy, rybaków, telegrafistów itp. Od 1-go marca 1939-go roku, po śmierci śp. dra Majewskiego, został jednocześnie inspektorem i zastępcą Stanisława Kosko, dyrektora Państwowej Szkoły Morskiej. Wojna zastała go na tym stanowisku.

Po zajęciu Gdyni przez Niemców został kapitan ż. w. Maciejewicz uwięziony w Stutthofie. Dzięki energii żony zwolniony z tego obozu w grudniu 1939-go roku, przybył do Warszawy. Tam pracował do lipca 1940-go r. w przedsiębiorstwie budowlanym jako robotnik, po czym wyjechał na wieś do Kluczkowic, gdzie znalazł zajęcie w tartaku.

W pierwszych dniach stycznia 1945-go roku, kiedy wznowiona została w Lublinie działalność Ligi Morskiej, rozpoczął pracę przy rejestracji pracowników morza. Dnia 11-go kwietnia tegoż roku przybył do Gdyni, jako pełnomocnik dla zabezpieczenia Państwowej Szkoły Morskiej. Miesiąc potem otrzymał nominację na stanowisko jej dyrektora.

Kapitan Maciejewicz jest lubiany przez młodzież dla swej dobroci i wyrozumiałości, które to cnoty cechowały go zawsze w stosunku do podwładnych.

MARIAN DES LOGES

Biblioteka Miejska w Gdańsku

„Święto Oświaty", które obchodziliśmy w dniach 1—3-ego bm., powinno w sposób nierozerwalny skupić przy książce myśl społeczną. Hasła, które podczas tego święta rozbrzmiewały z transparentów, są aksjomatami. Książka jest w istocie skarbnicą kultury. Kraj bez bibliotek, to naprawdę twierdza bez broni. Z książką trzeba współżyć, czerpiąc z niej nie tylko wzruszenia, ale i siłę ducha: w i e d z ę.

W chwili, gdy na skutek zniszczeń wojennych daje się dziś dotkliwie odczuć brak książki, zwłaszcza naukowej, gdy co dzień konstatujemy poważne szczerby w księgozbiorach publicznych i prywatnych, — z prawdziwą radością przynosimy czytelnikowi bliższe wiadomości o Miejskiej Bibliotece w Gdańsku. Szczęśliwie przetrwawszy lata wojny, stanie się ona — po uporządkowaniu niezwykle zasobnych zbiorów — jedną z bezsprzecznie najcenniejszych dziś w Polsce kopalń i kuźni dla pracowników nauki i wiedzy.

(P r z y p. R e d.)

Wczoraj

W tradycji polskiej architektoniczna wizja Gdańska ukształtowała się jako miasto gotyckich, czerwonych surową cegłą kościołów, bogatych i pięknych patrycjuszowskich kamienic, miasto przedproży, charakterystycznych i zabytkowych budowli, pełnych polskich pamiątek, zasobnych śpichlerzy, a na tym tle dopiero, jakby w drugim rzucie, uzupełniało ją uświadomienie ważności punktu handlowego, bogactwa, żeglugi i przemysłu morskiego.

Mało kto wie natomiast, że społeczność gdańska, bogate i zasobne kupiectwo tego portowego miasta, wbrew utartemu wyobrażeniu o materialistycznym nastawieniu ludzi handlu i przemysłu, **od najdawniejszych lat przejawiało szczególne zainteresowanie sprawami ducha, wiedzy i sztuki.**

Pęd ten przejawia się zarówno w tworzeniu towarzystw literackich i naukowych, na których kupcy gdańscy i — jakże często! — polscy goście dyskutują żywo na wszelkie tematy życiowe i naukowe, jak i w zrozumieniu wartości książki i słowa drukowanego. Każdy bodaj zamożniejszy kupiec gdański zbiera książki, dochodząc nieraz do posiadania niezwykle bogatych, nawet w skali światowej — jak na owe czasy — bibliotek.

Nie dziwi więc nas decyzja senatu gdańskiego, zakupującego już w 1591-ym roku **księgozbiór rozbitka włoskiego, markiza Jana Bernarda d'Oria,** który, skołatany długoletnią wygnańczą podróżą, resztki swego księgozbioru uratował z awarii, jaka wydarzyła mu się przed gdańskim wybrzeżem. Po trzydziestu pięciu latach tułaczki ślepnący starzec znalazł za swe książki zaciszny kąt w murach pofranciszkańskiego klasztoru i jednego węgierskiego florena tygodniowo na życie.

Szczęśliwą rękę miał ten starzec, którego wychudła, myśląca maska jakże silnie przemawia do nas zamkniętymi oczyma ze współczesnego, zachowanego w Bibliotece Miejskiej, portretu. Zapobiegliwi ojcowie miasta nie cofnęli się przed nie rentującym się wydatkiem i **w 1596-ym roku, a więc trzysta pięćdziesiąt lat temu, otworzyli na zrębie tego właśnie od tułacza nabytego księgozbioru bibliotekę publiczną, „szkołom ku ozdobie, miastu dla upiększenia, uczącym się dla zachęty i korzyści".**

Związana z gimnazjum akademickim biblioteka, rozwija się odtąd bez przerwy, nie ulegając w ciągu swych dziejów większym wstrząsom, czy katastrofom. Zasobnością swą i wyposażeniem już w okresie pierwszych dziesiątków lat swego istnienia nie ustępuje najpoważniejszym tego rodzaju bratnim instytucjom kraju i zagranicy. I w tych okolicznościach jednemu tylko dziwić się należy: że przy tak wybitnych i poważnych zainteresowaniach, wobec działalności takiej miary uczonych, jak Hevelius, Lengnich, Klein, Breyn i wielu innych, nie zdobył się Gdańsk na przestrzeni tego trzechsetlecia na ufundowanie uniwersytetu.

W tej atmosferze gdańska Biblioteka Miejska porasta w bogate dary, legaty i zapisy. Kupcy, księgarze, kaznodzieje, zbieracze książek i prywatni badacze, uprawiający naukę dla swej przyjemności a pożytku społeczności poza zajęciami zawodowymi, ofiarowują lub zapisują swe zbiory bibliotece. Znajdą się między nimi i ciekawe muzyczne zbiory Knofiusa (zapis z 1617-go roku) i rzadkie druki zbiorów K. Nimsgarta, czy W. Schlieff'a, zbiory braci bibliotekarzy Engelcke, czy tak wspaniałe dary, jak kilkanaście tysięcy liczący zbiór rajcy Uphagena, ofiarowany przez rodzinę w XIX-ym wieku.

Ale „Senatus Gedanensis", który już w pierwszych latach istnienia biblioteki kazał dla niej sporządzić piękny ekslibris z herbem miasta, nie poprzestawał tylko na pomnażaniu się biblioteki drogą przypadkowych darów. Już w XVI-ym wieku Rada Miejska zakupuje zbiory po uczonych gdańskich: teologu A. Glaserze, prawniku H. Lemkem, historyku Gdańska K. Schützu. W XVII-ym wieku kontynuuje zakupy, nabywając po księgarzu Krauzem księgozbiór w 450-ciu voluminach (1632 r.), czy bibliotekę kaznodziei Nigrinusa (1633 r.). Wiek XIX-ty przynosi bibliotece, obok wspomnianego Uphagena, historyczne zbiory Gralatha, Löschina, Bertlinga, teologiczny Mundta i — najbardziej nas dziś interesujący — obfity w cenne polonica, księgozbiór gdańskiego polonisty Mrongowiusza.

Szereg wchłoniętych przez Bibliotekę Miejską zbiorów pomnażają w XIX-ym wieku niezwykle wartościowe, zasobne w stare rękopisy i druki zbiory kościelne — biblioteki kościoła Mariackiego i św. Katarzyny. Drogą tych darów i zakupów **wzrasta biblioteka stosunkowo szybko, licząc z początkiem XIX-ego wieku 26 tysięcy, w połowie tego wieku 45, z końcem zaś już 111 tysięcy tomów,** wysuwając się pod względem liczebności, i naukowego charakteru na czołowe miejsce obok takich bibliotek, jak Jagiellońska, Ossolińskich, Uniwersytecka w Warszawie, czy w Wilnie.

Niestety, pomieszczenie biblioteki nie odpowiadało bodaj od początku jej potrzebom. Pierwotne lokale w murach klasztoru pofranciszkańskiego w krótkim czasie okazały się za ciasne i nieodpowiednie z powodu wilgoci. Realizację planów budowy specjalnego gmachu przekreśliły zmiany polityczne i podcięcie ekonomicznego rozwoju miasta przez przyłączenie go do Prus w 1793-im roku.

W latach 1819—1821 instaluje się Bibliotekę Miejską w kościele św. Jakuba. Pomieszczenie takie nie mogło pod żadnym względem odpowiadać potrzebom bibliotecznym. Toteż zarząd miejski Gdańska zdobył się wreszcie z początkiem XX-go wieku na wybudowanie specjalnego budynku. I ten jednak, jakkolwiek wyposażał magazyn w najnowocześniejsze w owym czasie urządzenia, nie grzeszył ani zbytkiem miejsca, ani celowością pomieszczeń administracyjnych. Grzeszył zaś i to bardzo, brakiem odrębnych pomieszczeń na bardzo bogate zbiory specjalne. Przeszło 4 500 rękopisów, kilkaset inkunabułów i wiele starodruków bardzo cennych i rzadkich pomieszczono wbrew elementarnym zasadom gospodarki bibliotecznej w ogólnym magazynie książek.

Tak dochodzimy do dnia dzisiejszego naszej biblioteki. Jej dzieje czekają na swego historyka. Bogate materiały archiwalne, zawierające m. inn. współczesny katalog najstarszego zrębu biblioteki, zbiorów markiza d'Oria, zobrazują dzieła i prace szeregu bibliotekarzy gdańskich — G. Schumanna, A. Engelcke'go, M. Hanowa, M. Groddecka*) i innych. Rzuca też światło na życie kulturalne i naukowe miasta.

Dziś

W pamiętnych dniach kwietniowych zeszłego roku pionierska ekipa władz polskich, obejmujących miasto, zastała bibliotekę wśród otaczających ją ruin — dziwnym zrządzeniem losu — we względnej całości. Gmach, co prawda, zawierucha wojenna pozbawiła dachówek, wszystkich szyb, powywalała futryny u okien i drzwi, zerwała tynki, kilka granatów poprzebijało mury, najgroźniejsze z nich jednak legły jako niewypały wewnątrz budynku.

Stan wnętrza nie zachęcał do snucia pomyślnych horoskopów. Burza wojenna zaznaczyła się rozrzuceniem części katalogu kartkowego, pozostawiła trupy ludzkie i końskie w obrębie gmachu i jego obejścia. Największe szkody jednak przyniosło — zapobiegliwe wprawdzie, ale i chaotyczne — zabezpieczanie cenniejszych partii zbiorów przez niemiecki zarząd biblioteki. Wyraziło się ono wywiezieniem ich poza obręb budynku (do niedalekiego ratusza staromiejskiego, który też szczęśliwie wraz z tymi zbiorami ocalał) oraz za granice Gdańska, jako też przerzuceniem znacznych partii księgozbioru do piwnic i najniższych kondygnacji magazynu.

Chaos i ruina — to właściwa charakterystyka stanu biblioteki w tych pierwszych dniach kwietnia 1945 roku.

Głównej trosce o odpowiednie zabezpieczenie księgozbioru, i powierzchowne jego oczyszczenie, towarzyszyła druga — o odszukanie brakujących, wywiezionych, a istotnie bardzo ważnych partii księgozbioru. Szczęściem, bibliotekę objął dawny jej gorliwy czytelnik, obecny dyrektor **dr Marian Pelczar.** Znając dobrze zbiory, mógł od razu zorientować się w uderzających brakach i rozpocząć akcję rewindykacyjną. Mimo znacznych trudności, przyniosła ona poważne wyniki, a trwając do dnia dzisiejszego pozwala żywić nadzieję, że niejedno jeszcze zdoła się odszukać i zwieść spowrotem na swe właściwe miejsce.

Pełnemu zorientowaniu się w stratach i brakach przeszkadza zarówno brak inwentarzy, wywiezionych przez Niemców, jak i wewnętrzne rozbicie księgozbioru, którego mozolne ustawienie w porządku sygnatur wymaga bardzo znacznego nakładu sił i pracy. Do połowy zimy personel biblioteczny pracował przy ustawianiu książek w nieopalanych i pozbawionych szyb pomieszczeniach. Pracował bez przerwy. Efektów jednak błyskawicznych w tych warunkach nigdy uzyskać nie można, tym bardziej, jeśli np. niespodziana rewindykacja, uzupełniając uporządkowane już partie księgozbioru, niweczy dokonane już i — zdawałoby się — poprawne ustawienie książek.

Największym hamulcem jest dotąd brak miejsca. Już za czasów niemieckich magazyn biblioteki był przepełniony. Wolne Miasto traktowało bibliotekę po macoszemu. Rozrost jej był nad wyraz skąpy, dla uzyskania zaś szerszego pomieszczenia nie zrobiono nawet tyle, by usunąć z gmachu tzw. „Volksbibliothek" — publiczny, oświatowo-propagandowy księgozbiór, pozbawiony wszelkiej naukowej wartości. Zajmował on lokale, które można by wyzyskać na rozszerzenie nieprawdopodobnie szczupłych pomieszczeń administracyjnych i biurowych oraz na magazyny specjalne. Wyzyskanie ich obecnie może nastąpić dopiero po remoncie i pewnej adaptacji.

Tymczasem, w chwili obecnej, zarząd biblioteki zabezpieczył u siebie z upoważnienia Wydziału Bibliotek Ministerstwa Oświaty znaczne ilości wartościowych prywatnych bibliotek poniemieckich. Musiał też rozładować piwnice, zapełnione po wręby zwiezionymi w czasie wojny dubletami i książkami z polskich bibliotek gdańskich i okolicznych (np. z Pelplina).

Pełne otwarcie biblioteki dla publiczności w obecnych warunkach przewidziane jest najwcześniej na czerwiec bieżącego roku.

Jutro

Z czym może stanąć Biblioteka Miejska w Gdańsku wobec polskiego czytelnika?

Ogólna charakterystyka zbiorów nie da się oczywiście zamknąć w jednym punkcie. Wyznaczają ją w pierwszym rzędzie **niezwykle cenne i liczne zbiory rękopisów, inkunabułów i starodruków polskich i obcych, idące w dziesiątki tysięcy tomów.** W całości księgozbioru, liczącego wedle ostatnich statystyk niemieckich 250.000 tomów, stanowią one bodaj 10 — 20% ogólnej liczby, przy zupełnie powierzchownym, orientacyjnym obliczeniu.

Przeprowadzane przed wojną prace rejestracyjne wykazały obecność 2.500 starych druków polskich, **nieznanych bibliografii Estreichera!** Niektóre, bogate działy jak teologia, czy filologia klasyczna, składają się w przeważnej części ze starodruków. Działy specjalne, jak Uphagena, kościoła Mariackiego i św. Katarzyny są nimi w 100% zapełnione. Mimo wywiezienia głównego zrębu inkunabułów, nie ma tygodnia, aby personel porządkujący nie wyławiał między książkami tych pięknych i rzadkich okazów początków sztuki drukarskiej.

W czasach pruskich, w drugiej połowie XIX-ego i początkach XX-ego wieku gromadziła dyrekcja niemiecka wartościowsze publikacje niemieckie, uwzględniając przede wszystkim humanistykę, a w jej obrębie szczególnie historię, filologię, sztukę, filozofię, poza tym w szerokim zakresie marynistykę, w pewnej zaś mierze i skandynawologię. Nie brak też prawa, przyrodoznawstwa, geografii i medycyny oraz bardzo obfitego zbioru wydawnictw akademii i towarzystw naukowych niemieckich. Znajdziemy też sporo druków w językach obcych (m. in. skandynawskich) i ku naszemu miłemu zdziwieniu **wiele nowszych książek polskich.** Niemniej w zakresie literatury nowszej stanowią one tylko luźne i przypadkowe wysepki. Opierając się na tym zrębie może biblioteka stać się poważnym warsztatem pracy naukowej, mimo że wymaga jeszcze licznych i istotnych uzupełnień.

W pierwszym rzędzie muszą znaleźć się w bibliotece publikacje polskie z zakresu historii politycznej, historii gospodarczej, historii sztuki, historii literatury wraz z tekstami i wartościową beletrystyką polską, jednym słowem **cała humanistyka polska,** poza nią — prawo, nauki społeczne i polityczne, przyrodoznawstwo zaś i medycyna w dziełach podstawowych. Winny w niej też znaleźć się wydawnictwa Polskiej Akademii Umiejętności oraz innych polskich towarzystw naukowych, wreszcie komplety czasopism naukowych i wymienionych wyżej dziedzin wiedzy.

Spełnienie tego postulatu wobec drożyzny i braku książki polskiej przerasta niewątpliwie aktualne realne możliwości. **Niemniej jednak wobec potrzeb nauki polskiej, przede wszystkim zaś dla ugruntowania i poszerzenia kultury polskiej na Wybrzeżu należy i musi się z uporem i konsekwencją walczyć o jak najszerszą realizację tego planu.**

Biblioteka Miejska, dotrzymując kroku **w rozwoju polskiemu Wybrzeżu, musi dostosować się do jego potrzeb i musi się stać pod tym względem centrum dokumentacyjnym i informacyjnym w zakresie spraw morskich.** Nie wystarcza do tego celu jedynie literatura krajowa. Pozostawiając sprawy techniczne i gospodarcze innym bratnim bibliotekom Wybrzeża, zamierza ona zbierać i w obcych językach to wszystko wartościowe, co tyczy kultury marynistycznej, kultury krajów skandynawskich i zachodnio-europejskich.

W ten sposób Biblioteka Miejska w Gdańsku chce służyć w miarę swych sił i środków oszczędnie, ale celowo i owocnie **rozwojowi nauki polskiej i kulturze marynistycznej.** Dbając z jednej strony o zdrową książkę dla szerokich mas społeczeństwa, zorganizuje sieć tanich, w przyszłości bezpłatnych wypożyczalni publicznych — stając zaś w służbie nauki, uporządkuje swe zbiory naukowe, uzupełni je i rozbuduje z tą ambitną myślą, **by stać się podwaliną gdańskiego Uniwersytetu, lub chociażby wydziału humanistycznego jednej z wyższych uczelni Gdańska.**

*) Nie należy go mieszać z E. Groddeckiem, profesorem Uniwersytetu Wileńskiego.



Portret Jana Bernarda d'Oria, uratowany wraz ze zbiorami gdańskiej biblioteki

PRZEGLĄD PRASY

Pierwsza połowa ub. m. stała pod znakiem uroczystości szczecińskich, będących w dniach od 12 do 14 kwietnia, zakończeniem obchodów w związku z pierwszą rocznicą odzyskania przez Polskę wybrzeża Bałtyku od Szczecina po Elbląg. Rocznica ta znalazła żywy oddźwięk również i w prasie periodycznej.

„Polska Zachodnia" w nrach 15-stym i 16—17-stym, obok szeregu artykułów i notatek wszechstronnie oświetlających zagadnienia Pomorza Zachodniego, Szczecina i morskie, zamieszcza między innymi pracę **Leszka Gustowskiego** („Nędze i cienie Pomorza za rządów niemieckich"). W tym samym nrze **Władysław Chojnacki** przypomina sześćdziesiątą rocznicę powstania „Gazety Olsztyńskiej".

Numer 16—17 **„Żołnierza Polskiego"** przynosi barwne opowiadanie **A. Dormatowicza** o dotarciu polskich czołgów do Bałtyku wiosną 1945-ego roku oraz wiele interesujących ilustracyj z nad Polskiego Morza.

Poznański **„Przegląd Zachodni",** wydawany przez Instytut Zachodni, zamieszcza w swym 3-cim nrze ciekawy artykuł historyczny **Witolda Henseta** o starej Lubece w świetle wykopalisk oraz próbę scharakteryzowania współczesnego życia literackiego na gdańskim terenie pióra **Mariana Pelczara.**

Łódzka **„Kuźnica"** w swym nrze 16-stym przedrukowuje za „Nową Polską" opowiadanie **Jana Papugi** z walk inwazyjnych we Francji pt. „Najpiękniejszy rejs". W kwietniowym numerze **„Morza"** na wyróżnienie zasługują artykuły **Kazimierza Czachowskiego** o motywach morskich w twórczości Eugeniusza O'Neill, **Al. L. Godlewskiego** o artystach-żeglarzach oraz **Leona Bukowieckiego** „Najcelnijsze filmy morskie".

„Echa Borów Nadbałtyckich", wychodzące w Sopocie, w swym nrze kwietniowym zamieszczają fragmenty „Legendy o masztowej sośnie" **Janusza Stępowskiego.** Dużo miejsca regionalnej literaturze i sztuce kaszubskiej poświęca wejherowska **„Zrzesz Kaszëbskô".**

Wychodzący w Warszawie miesięcznik popularno-naukowy **„Rzeczy ciekawe"** w swym pierwszym nrze pisze m. in. o wyspie Jawie i 2 ksiażkach, napisanych o niej przez **Michała Siedleckiego.**

Edward Martuszewski

Kultura i sztuka na Wybrzeżu

GDYNIA

Teatr Miejski „Komedia" w Gdyni wystawił na Wielkanoc „Muzykę na ulicy" P. Sureka. Bezpretensjonalna ta komedyjka czeska, która obiegła przed wojną w przeróbce wiedeńskiej wiele scen europejskich, irytować może widza swym niewybrednym, cyrkowym humorem i naiwnym morałem. Role w sztuce są na ogół nieźle postawione. Rzecz jednak chybia celu, jeśli jest kiepsko zagrana. W ostatniej premierze gdyńskiej gra aktorów, niestety, pozostawiała dużo do życzenia. Reżyseria: W. Zastrzeżyński. Wykonawcy: Bartówna, Wiłowicz, Dowgird, Gwiazdowski, Majdrowicz, Szerys. Dekoracje: W. Królikiewicz.
(Js)

W dniu 2-go bm. odbyła się w Teatrze Domu Marynarza premiera sztuki Jana Brzozy pt. „Stary dzwon", osnutej na tle ruchu partyzanckiego w latach wojny. Sztukę wystawiono w reżyserii Gwidona Trzywdara-Rakowskiego. Oprawę dekoracyjną zawdzięcza sztuka zespołowi pracowni malarstwa i rzeźby Domu Marynarza, przede wszystkim Banachowiczowi i Koniecznemu oraz projektom artysty-rzeźbiarza kpt. Konstantego Lecha.
Z. I.

Dyrekcja Miejskiej Szkoły Muzycznej zainicjowała w lutym br. „Koncerty dobrej muzyki". O celach tych koncertów mówi mój rozmówca, dyr. K. Czekotowski:

— Chodzi nam o to, żeby dotrzeć do konsumenta-słuchacza i rozbudzić w nim umiłowanie muzyki. Dotychczasowe doświadczenie z dwunastu koncertów wykazało ich celowość. Program każdego koncertu omawiany jest przez prelegenta, który spełnia ogromnie ważne zadanie: — uczy odkrywać piękno wykonywanych utworów i stwarza atmosferę, w której dzieło i jego twórca stają się dla słuchacza bliższymi i bardziej zrozumiałymi.

— Kto dotychczas brał udział w koncertach?

— Pianiści: Gorbaty, Jastrzębska, Lewiński, Staniewicz. Śpiewacy: Bojar-Przemieniecka, Bragińska - Iglikowska, Czekotowski, Platt. Skrzypkowie: Herman, Palulis. Wiolonczelista: Sienkiewicz. Organmistrz Betlejewski. Akompaniament: Walenfynowicz. Muzykę kameralną reprezentował Gdyński Zespół Kameralny. Prelekcje: Dulin, Heising, Herman, Miketta.

— Czy podobne koncerty odbywają się tylko w Gdyni?

— Udany nasz eksperyment znalazł już swoich naśladowców nawet wśród muzyków niezawodowych. Pod kierunkiem dra Pawlasa Akademia Lekarska we Wrzeszczu rozpoczęła cykl koncertów z prelekcjami, w których wzięli udział: Drzewiecki, Szpinalski, Staniewicz, Sienkiewicz. Organizacje społeczne i młodzieżowe powinny też podjąć w tej mierze inicjatywę. Nawet tak poważna placówka szerzenia kultury muzycznej na Wybrzeżu jak Filharmonia Bałtycka, która ma już szereg koncertów o wysokim poziomie artystycznym, przez wprowadzenie prelegenta zawiązałaby żywszy kontakt z miłośnikami muzyki symfonicznej i niezawodnie zwiększyłaby ich liczbę. Koncerty z prelekcjami, organizowane systematycznie w całym kraju, zdołają z biegiem czasu wychować coraz liczniejsze zastępy ludzi, dla których muzyka stanie się ożywczym i krzepiącym pokarmem ducha.

— Czy nasze społeczeństwo na Wybrzeżu jest muzykalne?

— Niestety, na ogół wielkiego zamiłowania do muzyki nie wykazuje. Aby zapełnić sale koncertowe, aby stworzyć zdrowy ruch muzyczny w kraju, trzeba społeczeństwo nauczyć słuchania muzyki, trzeba umiejętnie rozbudzić w nim pragnienie obcowania ze sztuką. W naszym kraju praca nad umuzykalnieniem społeczeństwa to żmudne pionierstwo, jednak prowadzona w sposób przemyślany i systematyczny może dać z biegiem czasu jak najlepsze rezultaty. Toteż dziś, gdy szkolnictwo muzyczne, organizowane zgodnie z dekretem Ministerstwa Kultury i Sztuki w swej nowej postaci na trzech stopniach nauczania obejmuje coraz gęstszą siecią cały kraj, wydaje się, że właśnie szkoły muzyczne powinny stać się ośrodkami kształcenia miłośników muzyki.
A. R.

Biblioteka gdyńskiej Stacji Morskiej wraz z bogatym jej wyposażeniem, laboratoryjnym sprzętem i urządzeniami badawczymi, została ostatnio odnaleziona w Hamburgu. Uratowany księgozbiór naukowy i przyrządy do badań mają wkrótce wrócić do Morskiego Laboratorium Rybackiego, które kontynuując działalność Stacji Morskiej, prowadzi obecnie w Gdyni badania nad hydrologią, biologią i ichtiologią Bałtyku.
Z. I.

SOPOT

Filharmonia Bałtycka koncertuje obecnie stale w trzech miastach Wybrzeża, zmieniając program co tydzień. Z ostatnich imprez zasługuje na specjalną wzmiankę ciekawy koncert religijny w Wielkim Tygodniu oraz występ znanego pianisty łódzkiego Jana Bereżyńskiego.

W ub. m. odbyły się trzy popisy uczniów Gdańskiego Instytutu Muzycznego w Sopocie. Wśród uczniów wyróżnia się niepospolitą klasą młody pianista Tadeusz Kerner, uczeń profesora Staniewicza.

Znany rzeźbiarz, Marian Wnuk, profesor Gdańskiej Szkoły Sztuk Pięknych w Sopocie, otrzymał jedną z trzech równorzędnych nagród za projekt pomnika Powstańca Śląskiego w Katowicach. Pierwszy to poważny wkład plastyki Wybrzeża w ogólno-polski dorobek kulturalny.

Otwarta w dniu 11-ego maja bież. roku wystawa plastyków Wybrzeża jest ciekawym i cennym przeglądem osiągnięć jednego roku pracy artystycznej.

W dniu 4-go bm. ujrzeliśmy tu zespół teatru objazdowego z premierą oklepanej sztuki Morozowicz - Szczepkowskiej pt. „Sprawa Moniki". Trzy kobiece role w tej sztuce odegrały ku łatwemu zadowoleniu pań-sopocianek: A. Bełkowska, E. Ściborowa i I. Sobołtówna. Miejscowy Teatr Dramatyczny wykorzystał ten majowy moment do zdawna przyrzeczonego objazdu po miastach Wybrzeża z własnym repertuarem.
at.

GDAŃSK

Trzej artyści malarze z Sopotu, Strzałecki, Studnicki i Żuławski pokryli ścianę stołówki Urzędu Wojewódzkiego Gdańskiego freskiem nt. „Uczta Arciszewskiego". Jest to pierwsze dzieło sztuki dekoracyjnej na Wybrzeżu. Przejrzysta kompozycja, barwny stylizowany kostium, przyjemny morski sztafaż i ciepły koloryt oddają dobrze pogodny, renesansowy nastrój biesiady w plenerze. Walor malarski fresku i złudzenie zabawowego podniecenia potęguje technika operowania kolorem rozbitym, które go poszczególne elementy wibrują i reflektują harmonijnie. Bardziej afektowany sprawozdawca dodałby, że na tle fresku spożywana przez urzędników kartoflanka wygląda jak płynne złoto Tycjana, rozlane przez mistrza po talerzach.

SZCZECIN

Szczecińska Dyrekcja Odbudowy odremontowała gmach przy ulicy Swarożyca, przeznaczony na stały, wojewódzki Teatr Ziemi Pomorskiej. Wykonuje się już prace związane z powiększeniem sceny oraz urządzeń, umożliwiających przedstawienia. Dyrektor, Bronisław Skąpski, ukończył angażowanie artystów.

Otwarcie sezonu naznaczono na dzień 28 bm. Dana będzie krotochwila Aleksandra Fredry: „Damy i huzary" w inscenizacji Bron. Skąpskiego, w reżyserii b. dyrektora Teatru Narodowego w Warszawie — Emila Chaberskiego. Na szereg gościnnych występów pozyskano znanego artystę Antoniego Fertnera, który grać będzie już w „Damach i huzarach". Rolę majora w tej sztuce odtworzy Wł. Bracki, b. dyrektor Teatru toruńskiego. Oprawę sceniczną przygotuje Stanisław Jarocki.

Drugą premierą będzie Zapolskiej „Moralność Pani Dulskiej" w reżyserii Emila Chaberskiego, z Ant. Fertnerem w roli Dulskiego. Reżyserami teatru będą: dyr. Br. Skąpski, Filip Kuligowski — długoletni artysta i reżyser teatru lwowskiego oraz Bol. Mierzejewski. Jako goście reżyserować będą Teofil Trzciński i Józef Karbowski.

Jak z tego wynika, wojewódzki teatr w Szczecinie pozyskał wybitnych artystów.

W dniu 25-go marca odbyło się Walne Zebranie członków Klubu Literacko-Artystycznego, na którym zatwierdzono statut Klubu oraz wybrano Zarząd w składzie: St. Czapelski — prezes, Moszyński — wiceprezes, dr. St. Telega — sekretarz, Goszczyński — skarbnik, Zdz. Karczewski — członek Zarządu.

Pierwsze posiedzenie Zarządu odbyło się 27 marca 1946 r. Uchwalono nawiązać kontakt z Zawodowym Związkiem Literatów Polskich i w najbliższym czasie urządzić inauguracyjne zebranie Klubu, z udziałem wybitniejszych literatów.

Dnia 16-go maja odbędzie się inauguracyjne otwarcie Klubu Literacko - Artyst. w Szczecinie w gmachu Polskiego Radia. W programie referat dyskusyjny Wł. Goszczyńskiego pt. „Zadania kulturalne na Pomorzu Zachodnim" i część artystyczna. Fragmenty wieczoru będą transmitowane przez Rozgłośnię Polskiego Radia w Szczecinie.

W Szczecinie czynne są dwie Szkoły Muzyczne, Oddział Związku Zawodowego Muzyków oraz Oddział Związku Plastyków. Zorganizowany przez PPR „Teatr Mały", czynny przez kilka miesięcy, ma charakter amatorski.

W Koszalinie, Gostyniu, Dzegowie, Trzcińsku i Drawsku czynne są amatorskie teatry, cieszące się dość dużą frekwencją.
ts

BIAŁOGRÓD

Z sześciu bram, które znajdowały się w Białogrodzie, zachowała się tylko jedna „Brama stepowa", pochodząca prawdopodobnie z pierwszej połowy XIII-ego wieku. Za najokazalszą i najpiękniejszą świątynię uchodzi kościół N. M. P. zbudowany prypuszczalnie współcześnie z „Bramą stepową" w stylu wiślanego gotyku. Jest wiele danvch, iż świątynię tę, jak i wiele innych na Zachodnim Pomorzu, zbudował Kaźko ze Słupska, jako władyka tej połaci piastowskiej Polski. Jeszcze wcześniejszym, niż świątynia N.M.P., jest kościół św. Piotra. Wnętrze dość zaniedbane, doprasza się renowacji, tym więcej, iż kościół ten, ściśle mówiąc większych rozmiarów kaplica, powstał na miejscu, gdzie stanął niegdyś pierwszy ołtarz chrześcijański, przed którym zanosili modły ochrzczeni przez Mieszka Pomorzanie.

Godny uwagi jest zabytkowy zamek w Połczynie, dawna siedziba ks. Bogusława IV-go oraz stare, kamienne mogiły słowiańskie w Wielkim Rabinie, które czekają na prehistoryka, mogącego zbadać ich wnętrze, kryjące ciekawą przeszłość.

Brak środków lokomocji nie pozwala na bliższe zapoznanie się z terenem. Białogród czeka również na polskiego historyka, który by dzieje tego miasta ujął w osobnej książce, a treść jej oparł na sumiennie zbadanych źród ach i dokumentach. Do tej chwili bowiem, gdy mowa o przeszłości, posługiwać się trzeba jedynie broszurami niemieckimi i tymi dokumentami, które Niemcy po swojemu traktowali i komentowali.

Szczecin w przededniu ofensywy kulturalnej

Gdybyśmy chcieli ocenić życie kulturalne Szczecina na podstawie rocznego diariusza najważniejszych wydarzeń, zestawionych przez „Kurier Szczeciński" w dniu 14 kwietnia, ogarnęłaby nas gorzka zaduma. Bilans bowiem tej kultury streszcza się w następujących pozycjach: — 7 października 1945 r. — pierwszy numer „Kuriera Szczecińskiego". — 9 grudnia 1945 — pierwszy „Czwartek literacki", otwarcie pierwszej wystawy plastyków oraz otwarcie „Teatru Małego". — 27 stycznia 1946 r. otwarcie radiostacji.

Punkt. Kropka. To wszystko. Autor tego diariusza, umieszczonego pod pompatycznym tytułem: „Daty, które tworzą historię polskiego Pomorza Zachodniego i jego stolicy", uważał zorganizowanie pierwszego oddziału polskiej straży pożarnej oraz pierwszego klubu sportowego za ważniejsze wydarzenie niż np. otwarcie pierwszego polskiego gimnazjum, lub szkoły. Diariusz o szkole przemilczał, jak również o otwarciu niedzielnego Uniwersytetu Powszechnego. Pominął też milczeniem utworzenie Oddziału Związku Zawodowych Muzyków i Związku Plastyków.

Czy jest aż tak źle z tą kulturą Szczecina?

Niewątpliwie, że tak źle nie jest, choć dobrze też nie. **Szczecin stoi dopiero w przededniu swej kulturalnej ofensywy.** Istotny rozwój miasta rozpoczął się na dobre dopiero niedawno, bo w lutym br., gdy nastąpiło przeniesienie Urzędu Wojewódzkiego z Koszalina do Szczecina i gdy w marcu władze polskie przejęły część portu szczecińskiego. Dało to Szczecinowi „zastrzyk" nowych ludzi oraz nowe perspektywy rozwojowe.

Imponujące „Dni Szczecina", urządzone w dniach 13-ego i 14-ego ub. m. zainteresowały ogół polski starosłowiańskim „grodem Trigława", co też niewątpliwie jest dobrym prognostykiem na przyszłość.

Nową fazę w życiu kulturalnym Szczecina typują obecnie trzy instytucje, powitane przez tutejsze społeczeństwo z wielką radością.

Pierwszą — jest rozgłośnia Polskiego Radia, czynna już od stycznia br. Stale poprawiający się program, informujący o bieżącym życiu Szczecina i Pomorza Zachodniego oraz o jego słowiańskiej przeszłości, stała, własna orkiestra, dająca trzy razy w tygodniu urozmaicony program artystyczny, rokują dobre nadzieje na przyszłość.

Drugą instytucją kulturalną jest **Klub Literacko - Artystyczny,** który skupił wszystkich interesujących się przejawami artystycznymi. W programie Klubu przewidziane są wieczory dyskusyjne i artystyczne oraz występy literatów z całej Polski. Rozwijającemu się dotąd chaotycznie życiu kulturalnemu nadaje teraz Klub formy bardziej zorganizowane.

Trzecią instytucją kulturalną. jest stały zawodowy **Wojewódzki Teatr Polski,** zorganizowany przez dyr. Skąpskiego. O placówce tej zamieszczamy bliższe dane w kronice pt. „Kultura i sztuka na Wybrzeżu".

Poza tym, czynne są w Szczecinie: **Związek Zawodowy Plastyków i Muzyków.** Związki te są jeszcze w przededniu swego rozwoju. Niemniej sam fakt ich istnienia jest już dobrym znakiem postępu w rozwoju miejscowego życia kulturalnego.

Szczecin miał przed wojną 300.000 mieszkańców. Dziś posiada zaledwie 40.000 Polaków oraz kilka tysięcy Niemców, opuszczających dzień po dniu miasto. Te cyfry mówią same za siebie. Szczecin czeka na ludzi. Szczecin woła. **Szczecin sygnalizuje, że istnieją tu niesłychane możliwości rozwojowe.**

Przeświadczenie życia kulturalnego u progu drugiego roku istnienia polskości w Szczecinie rokuje nadzieję, że już w niedługiej przyszłości miasto zatętni ożywionym ruchem kulturalnym i stanie się prawdziwą stolicą kultury polskiej na Pomorzu Zachodnim.
Stanisław Telega

Klub Literacki w Sopocie

W dniu 3 sierpnia ub. roku został utworzony Klub Literacki Wybrzeża z siedzibą w Sopocie. Miał on na celu zorganizowanie ruchu i życia kulturalnego przez wieczory autorskie, odczyty, zebrania dyskusyjne, widowiska teatralne, prasę, publikacje i radio. Celem zasadniczym Klubu było **stworzenie oddziału ZZLP na Wybrzeżu.**

Na pierwszym zebraniu wybrany został zarząd w składzie: Janusz Stępowski — przewodniczący, Kazimierz Barnaś — viceprzewodniczący, Janusz Rychlewski — sekretarz. Z rozwojem Klubu lista członków powiększała się. Obecnie wynosi 25 osób. **Współdziałając w organizowaniu dwudziestupięciu „Wieczorów Czwartkowych"** w Sopocie, Klub stał się zarazem odskocznią dla poczynań organizacyjnych Gdyni przez **„Środy Literackie".** Wysyłając swego delegata do Gdańska, przyczynił się również do ukonstytuowania w listopadzie ub. r. **„Bractwa Literackiego"**, znanego dziś z szerokiego zasięgu pracy, obejmującego popularne „Wtorki Poezji i Prozy" oraz publiczne wieczory dyskusyjne. Jeśli dodać do tego wyjazdy w teren: Pszczółki, Nytych, Malbork, Elbląg z koncertami i żywym słowem, okaże się, że działalność Klubu nie ograniczała się tylko do trzech miast Wybrzeża.

Tym niemniej Sopot, jako miasto położone w pośrodku trasy Gdynia—Gdańsk, dzięki swemu skupieniu placówek kulturalnych stał się i pozostał centrum ruchu literackiego. Dowodem tego, oprócz czterech wieczorów dyskusyjnych, był szereg imprez, które odbyły się w ciągu kilku ostatnich miesięcy, jak: wieczór żywej książki pt. „Godzina z nami" (udział w nim wzięli: K. Barnaś, J. Lau, J. Rychlewski, J. Stępowski, M. H. Szpyrkówna i M. Zydler), wieczory autorskie E. Fiszera i K. I. Gałczyńskiego, „Biesiada Literacka" w opracowaniu J. Rychlewskiego oraz „Niepolityczna Szopka Polityczna" S. Fleszarowej.

Reasumując ośmiomiesięczną działalność Klubu, który w warunkach niesłychanie trudnych, w niewygodach pierwszej zimy powojennej rozwinął ożywioną działalność na terenie Województwa Gdańskiego, przyznać trzeba, że przyczynił się on niemało do rozbudzenia zainteresowania literaturą i sztuką. W wyniku też żywotności tej placówki w dniu 11 lutego br. **powstał Oddział ZZLP**, co było celem najistotniejszym i myślą przewodnią Klubu. W skład członków-kandydatów Gdańskiego Oddziału Zawodowego Związku Literatów Polskich weszli z członków Klubu: Kazimierz Barnaś, Stanisława Fleszarowa, Anna Gałczyńska-Folkierska, Edmund Misiołek, Janusz Rychlewski i Jan Tadeusz Zaleski.

W dniu 7 kwietnia na Walnym Zebraniu Klubu Literackiego, po udzieleniu absolutorium dawnemu, wybrany został **nowy zarząd w składzie: dr Antonina Przewłocka, kpt. Zdzisław Czajkowski i mgr Eugenia Kochanowska** z prawem kooptacji dwóch dalszych członków. Zarząd Oddziału ZZLP przydzielił Klubowi specjalnego delegata, celem utrzymania stałej łączności pomiędzy Klubem a Oddziałem ZZLP. Delegatem tym z ramienia Zarządu Oddziału ZZLP został Janusz Stępowski.

W wyniku ożywionej dyskusji powzięto na Walnym Zebraniu uchwały torujące nowe drogi działalności sopockiego Klubu. Praca jego będzie szła obecnie w kierunku urządzania cotygodniowych wewnętrznych wieczorów autorskich w celu eliminacji najlepszych prac, które będą następnie publikowane w prasie lokalnej. Oprócz tego, postanowiono sięgnąć po młode talenty do ośrodków akademickich i młodzieżowych, dla których Klub w oparciu o Związek ZLP postara się stworzyć studio na wzór Krakowa.

Tak więc Klub Literacki, typując sobie nowe zadania przez kooptację młodych piór, rozpoczął od dn. 7 kwietnia br. drugi okres swej działalności.

Janusz Rychlewski

WEJHEROWO

Bywalcy i znawcy teatralni, pamiętający „Wesele na Kurpiach" i inne tego rodzaju znakomite inscenizacje ludowych obrzędów przyjmą niewątpliwie z dużym zainteresowaniem wiadomość o wystawieniu w Wejherowie w dniu 27-go ub. m. premiery sztuki ks. Bernarda Sychty pt. „Hanka sę żenji". Utwór został wystawiony przez miejscowy Teatr Ludowy im. Jana Karnowskiego. Autor sztuki jest jednym z najlepszych znawców Kaszubszczyzny. O zasługach ks. B. Sychty mówi jego dotychczasowy dorobek literacki, będący bezcenną zbiornicą kaszubskich motywów: — pieśni, podań i ludowej liryki, ilustrujących charakter życia powszedniego i zwyczajów obrzędowych. Sztukę jego reżyserował Klemens Derc, dyrektor miejscowego Teatru Ludowego. **Z. L**

TCZEW

W pierwszych dniach bm. otwarto tu uroczyście Dom Kultury. Mieści się w nim m. in. sześć sal, obrazujących w szeregu portretów rozwój światowej literatury, historii, nauki, teatru itd. Podobizny wielkich ludzi kłócą się nieco z globalnym organizacyjnym rozmachem tczewskiego Domu Kultury. Jest ich co prawda kilkanaście setek, ale stworzone w imponującym tempie (jeden na godzinę) wyglądają raczej na akty prywatnej zemsty artysty nad modelem. Drugim eksponatem, pobudzającym do myślenia, jest rząd wykoślawionych, rachitycznych krzeseł, opatrzonych rzewnym napisem: „Dar Tymczasowego Zarządu Państwowego". Poza tym jest w Domu Kultury bardzo przyjemnie.

MALBORK

W dniach 12—13 ub. m. odbył się tu zjazd powiatowych referentów Kultury i Sztuki. Ma to specjalne znaczenie. Opodal zamku, siedliska zbrodni hitlerowsko-krzyżackiej rozprawiano o organizacji kultury polskiej. Zamek ten zniszczony w 40% wskutek hardego, pięciotygodniowego oporu „Hitlerjugend" nie stanowi dziś interesującego obiektu achitektonicznego. Jest to rekonstrukcja, dokonana w ostatniej połowie wieku przez Niemców z właściwą im butą w podkreślaniu pseudomonumentalnych, gotyckich zarysów budowy. Cegłami zniszczonego skrzydła można by co najwyżej wyremontować drugie, ocalałe i użyć gmach na jakiś ośrodek kulturalny. Na zjeździe szereg referatów, dotyczących specjalnych zagadnień artystycznych, wygłosili referenci Wojewódzkiego Wydziału Kultury i Sztuki. Dyskusja świadczyła o żywotności poruszanych zagadnień i o potrzebie jak najczęstszych kontaktów osobistych pracowników kultury. Zjazd zamknięto amatorskim przedstawieniem „Swatów" Dominika w wykonaniu miejscowego high-life.

DERŁÓW

Muzeum, znajdujące się w dobrze zachowanym zamku książąt pomorskich, obejmuje głównie zbiory typu regionalnego. Dzięki pięknemu nadmorskiemu położeniu i zaletom letniskowym miejscowości, ma ono duże szanse rozwoju.

GRYFIN

W miejscowości Banie, powiatu gryfińskiego, odnaleziono wykopaliskowe zabytki kultury słowiańskiej.

(A. R.)

RADUN I BIELINKI

W miejscowości Radun znajduje się archiwum i biblioteka „Märkisches Provinzialmuseum in Berlin", w Bielinkach zaś zbiór biblioteki biologicznej w kilku językach (niemieckim, francuskim, łacińskim, japońskim). Dzieła te, złożone w wielkim nieładzie w starym, zdewastowanym zamku nie są dotąd zabezpieczone. (ts)

NAWAŁNICA STARŁA ŁEBĘ Z POWIERZCHNI ZIEMI

Jest na Pomorzu Zachodnim mały port rybacki o zagadkowej nazwie: Łeba. Samo miasteczko kryje się za wydmą piaszczystą o niezwykłej mocy krajobrazowej. Prześlicznie położone wśród borów na przesmyku międzyjeziornym, ciche, jakby zadumane, przysłuchuje się wichrom hulającym na przestworach Bałtyku.

Rok 1558-my był dla Łeby okropny. Wicher z północnej strony horyzontu srożył się przez cały tydzień. Przez długie dni i noce wichura napędzała fale ku dymiącym się wydmom. Morze podnosiło się groźnie, żywiołowo, wsiąkało w piaski wydm i z głuchym łoskotem uderzało o brzeg. Znowu napierało wałami fal. Nawałnica mocowała się i zmagała z lądem. W końcu ostatnim wysiłkiem przerwała napęczniałe piaski i rozlała się powodzią. **Łeba znikła z powierzchni ziemi.**

Wielu mieszkańców zapłaciło wtedy gniewnemu żywiołowi morza daninę życia, inni szukali schronienia w dalekim Gdańsku. Tylko najbardziej nieugięci w walce z morzem pozostali na miejscu i **założyli tu nową, dzisiejszą Łebę, o dwa tysiące kroków odległą od zatopionej.** Z zatopionego miasta pozostały tylko ruiny kościoła św. Mikołaja. Dymią się za nimi ciągle czuby wydm, dalej zaś na północ. „grzmiącemi piersiami białe roztrąca się morze i z pienistej gardzieli piasku strumienie wylewa". (Mickiewicz: „Konrad Wallenrod").

J. St.

Treść 3-go numeru

B. Wit Święcicki: „Literatura na szarym końcu". **M. Brandys:** „Smak wyzwolenia". **W. Kowalenko:** „Polityka morska Zygmunta Augusta". **Charles Ogier:** „Gdańsk w 1635 roku". **J. Staszewski:** „Sopot — prasłowiańskie grodzisko". **F. Fenikowski:** „Rodowód Smętka". **Anna Gałczyńska-Folkierska:** „Norwid nad morzem". **R. Heising:** „Morze w muzyce". **E. Martuszewski:** „Remus — kaszubski don Quijote". **K. Orthwein:** „Michał Leszczyński — plastyk morza". **S. Mioduszewski:** „Moment psychologiczny". **E. Cękalski:** „My z „Garlanda". **E. Misiołek:** „K. I. Gałczyński wrócił do kraju". **E. Martuszewski:** „Przegląd prasy". **T. Bierowski:** „Międzynarodowe uregulowanie pracy na morzu". **J. S. Kalwasiński:** „Z życia Państwowej Szkoły Morskiej".

Utwory poetyckie: **Bronisława Króla:** „Z wiosną 1945 roku", **Stanisławy Fleszarowej:** „Drzwi horyzontu", **Edwarda Fiszera:** „Spotkanie z żeglarzem", **Zbigniewa Jasińskiego:** „Tatuaże", **K. I. Gałczyńskiego:** „Zachłysnąć się tobą", i „Ucieczka grzesznych".

Poza tym, jak w każdym n-rze, wiadomości z działu **„Kultura i sztuka na Wybrzeżu" i „Z kambuza"** — drobne wiadomości. W dziale kronikarskim, sprawozdanie z ciekawszych wydarzeń pt. „W przekroju miesiąca".

Z kambuza

TYPY KOTWIC

Dla człowieka z głębi lądu kotwica jest symbolem nadziei. Pamiętamy ją też z czasów ostatniej wojny, jako godło Polski walczącej. Złota kotwica jest przede wszystkim, jak powszechnie wiadomo, znakiem przynależności do wielkiej międzynarodowej rodziny morskiej. Dlatego też bywa ozdobą nieodzowną, używaną nie tylko na marynarskich guzikach.

Początkowo, gdy jedynym kapitanem dalekiej żeglugi był „dziadzio" Noe, za kotwicę służył kamień z przewierconą w nim dziurą, przez którą przeciągnięto najzwyklejszy powróz. Wprawdzie potem zaczęto również używać obciążonego kamieniami, zakrzywionego kawałka drzewa, ale ten sposób nie utrzymał się długo. W miarę rozwoju techniki rozpoczęto wyrabiać kotwice z brązu, a następnie z żelaza.

Już we wczesnym średniowieczu znano i używano kotwice o dwóch łapach, które zagrzebując się w piasku, czy też zaczepiając o skaliste dno, umocowywały w ten sposób statek w chwili jego postoju. Ten typ kotwic przetrwał z drobnymi zmianami po dzień dzisiejszy i jest używany na małych stateczkach, szalupach, berlinkach. Około 1860-ego roku nastąpiła istna „rewolucja kotwiczna": — wprowadzono kluzę, zamiast zaś manili — łańcuchy. Zaczęto używać kotwic bez ramion z ruchomymi łapami, czyli tzw. kotwice patentowe. Inowacje te, zwłaszcza używanie łańcucha zamiast liny manilowej, spotkały się zrazu z wielkim sprzeciwem ze strony kapitanów, którzy obawiali się, iż łańcuchy te przez ciągłe używanie mogą pokrajać w kawałki kadłub okrętu.

Przeciętna długość łańcucha kotwicznego wynosi na mniejszych statkach 90, na większych zaś 120 sążni. Każdy statek zaopatrzony jest przynajmniej w dwie kotwice zapasowe.

Dobra kotwica posiada przy minimalnej wadze jak największą moc zatrzymującą. Jej cechy nowoczesne to możliwie wielka kompaktność (układność), posiadanie takiej formy, by można było ją łatwo rzucić do wody, a następnie równie łatwo wyciągnąć na pokład. Najbardziej znane są kotwice systemu: Admiralicji, Trotmana, Martina, Marella, Cholla i patentowe. (Według streszczonego kursu morskiej praktyki" kpt. ż. w. Gustawa Kańskiego. Podręcznik ten polecamy czytelnikom, zainteresowanym tematem).

J. K.

PILOT PORTOWY

Praca pilota portowego jest ciężka i odpowiedzialna. Polega ona nie tylko na wprowadzaniu i wyprowadzaniu statków z portu i do portu, ale i na kierowaniu przeciągnięciami statku wewnątrz portu. Pilot portowy jest fachowym doradcą kapitana, znawcą portu, jego głębokości i warunków lokalnych, o których kapitan poinformowany jest tylko pobieżnie. Prawie we wszystkich portach świata pilotaż jest obowiązkowy. Przed wojną większość kapitanów polskich miała za sobą złożony egzamin pilotowy z portu gdyńskiego. Np. wszystkie statki „Polskarob" miały swoich kapitanów-pilotów; zmniejszało to koszty eksploatacji statku, gdyż odpadała opłata pilotowa.

Warunki służby pilota wymagają od niego tężyzny fizycznej, ponieważ wchodzenie, jak i schodzenie po sznurowej drabince na otwartej redzie jest rzeczą trudną i niebezpieczną.

Poza tym dobry pilot musi posiadać znajomość obcych języków, a już przynajmniej angielskiego, jako międzynarodowego języka marynarzy. Pilotami są z reguły starzy, wysłużeni kapitanowie, którzy wolą osiąść w porcie macierzystym, niż wieść tułaczy żywot marynarski na morzach i oceanach.

J. K.

O NAZWACH CO NIEKTÓRYCH

Każdy marynarz musi dobrze znać geografię. Musi orientować się w południkach, monsunach, równoleżnikach, golfstromach, cieśninach, lub przylądkach. Powinien wiedzieć, gdzie leży Bab el Mandeb i co to jest Ziemia Ognista, aby nie pomieszać jej z — „ognistą wodą", jak Indianie nazywają naszą czystą wyborową. Powinien wiedzieć, że między Zelandią, a Nową Zelandią, rozciągają się trzy kontynenty. Wyjdzie mu też na zdrowie, jeśli będzie wiedział, nie tylko, że wyspy Kanaryjskie leżą na zachód od Afryki, lecz także skąd pochodzi ich nazwa. Powiedziałby ktoś, że to proste przecież — od kanarków! Niestety, nie. Od nazwy łacińskiej: Canariae Insulae, czyli Wyspy Psie (canis po łacinie znaczy: pies).

Z nazwami geograficznymi wcale nie taka prosta sprawa, jakby się wydawało. Często są one wprost nieobliczalne. Przykładem tego jest Buenos Aires czyli „Dobre Powietrze", albo Rio de Janeiro — Rzeka Styczniowa. Stolica Brazylii leży nad zatoką, do której wpada rzeka odkryta w styczniu (janeiro), stąd założone nad tą zatoką miasto nazwano Miastem Rzeki Styczniowej, w skrócie: Rzeka Styczniowa — Rio de Janeiro.

A czy wiecie, że Doliną Raju na ziemi jest dziś największy port Chile — Valparaiso? Czytaliśmy nieraz o olbrzymich wąwozach, kanionach, jakie wyżłobiła swoim nurtem rzeka Colorado. Mimo złudnego brzmienia tego wyrazu nie nazywa się ona jednak kolorową, lecz tylko czerwoną.

Hiszpanie, wierzący katolicy, podbijając Amerykę nadawali często miastom, rzekom, górom charakterystyczne nazwy. Tak np. w Chile i Paragwaju znajdujemy Concepción, a dokładnie biorąc: Ciudad de la Concepción de la Santissima Virgen Maria czyli Miasto Poczęcia Najświętszej Marii Panny. Trzeba mieć naprawdę hiszpańską fantazję, by tworzyć takie tasiemcowe nazwy! Jedna z republik środkowo-amerykańskich, to San Salvador — czyli Święty Zbawiciel.

Dobrze znana naszym marynarzom Casablanca we francuskim Marokku, to — Biały Dom, skromna nazwa, jak na stutysięczne miasto. Nazwa portugalskiej wyspy Madeira na oceanie Atlantyckim znaczy po polsku — drzewo. Samo słowo „madeira" pochodzi z łacińskiego „materia", które przyjęło się również w języku polskim.

„Na wołowej skórze" nie spisałby niespodzianek, które często kryją się za „niewinnymi", „nic nie znaczącymi" nazwami geograficznymi.

E. M.

ROCZNICA BITWY POD SKAGERRAKIEM

Jednym z powodów, które skłoniły na początku XIX-ego wieku Wielką Brytanię do porzucenia polityki „splendid isolation" był gwałtowny rozrost niemieckiej floty handlowej i marynarki wojennej. Wzmocnienie się Niemiec Wilhelma II-ego na morzu stało się też jedną z przyczyn wybuchu pierwszej wojny światowej.

Flota niemiecka jednak od pierwszych dni walk wstrzymała się od akcji zaczepnej z udziałem okrętów bojowych, pancerników i krążowników. Dowództwo niemieckie nie ufało własnym siłom, pozostając pod sugestią dotychczasowej niepokonalności Anglii na morzu. Dopiero, gdy z początkiem 1916-go roku dowódcą niemieckiej marynarki wojennej został wiceadmirał von Speer, w niemieckich portach wojennych, przede wszystkim w Wilhelmshaven, rozpoczęły się ożywione przygotowania do wypłynięcia na wody Wielkiej Brytanii, w celu sprowokowania bitwy z angielską flotą macierzystą — Grand Fleet.

Dnia 31-go maja 1916 roku w Skagerraku, cieśninie rozdzielającej Norwegię od Danii miała miejsce pierwsza, a zarazem ostatnia wielka bitwa morska w tej wojnie między flotą angielską pod dowództwem admirała John'a Jellicoe (na okręcie flagowym „Iron Duke") z niemiecką, dowodzoną przez wiceadmirała von Speer (na okręcie flagowym „Friedrich der Grosse").

Bitwa trwała dwa dni i kosztowała Anglików 6 okrętów bojowych („Indefatigable", „Queen Mary", „Invincible", „Defence", „Black Prince", „Warrior") i 8 torpedowców. Niemcy stracili dwa okręty bojowe („Lutzow" i „Pommern"), 4 małe krążowniki i 5 torpedowców. Angielskie straty były również duże, jeśli porównamy zatopiony tonaż (115.025 : 61,180 BRT). Dało to Niemcom pozory sukcesu. Pozostaje jednak faktem, że Niemcy przerwali walkę i pod osłoną nocy zaczęli uciekać do swych portów. Pościg angielski nie dał wyników, gdyż z powodu fałszywych obliczeń, obie floty rozminęły się w ciemnościach nocy, tracąc kontakt bojowy.

Anglicy w bitwie pod Skagerrakiem wykazali swą przewagę taktyczną i wytrzymałość bojową, które zapewniły im zwycięstwo mimo większych strat.

Niemieckiej propagandzie, głoszącej rzekome zwycięstwo von Speera, zadał kłam dalszy tok wojny światowej. Flota niemiecka po swym „zwycięstwie" pod Skagerrakiem nie odważyła się już wychylić nosa ze swych portów.

Rzecz charakterystyczna, że w drugiej wojnie światowej Niemcy ograniczyli się jedynie do podstępnej, drapieżnej, nękającej wojny łodzi podwodnych. Jeśli porównamy działania wojenne Japończyków na Pacyfiku z wojenną akcją morską hitlerowców, dojdziemy do przekonania, że Niemcy jeszcze po upływie ćwierć wieku nie mogli ochłonąć po swym „zwycięstwie" pod Skagerrakiem i woleli ograniczyć się do podjazdowej wojny łodzi podwodnych.

E. M.

W przekroju miesiąca

Przez trzy dni, od 12-go do 14-go ub. m. **oczy całej Polski zwrócone były na zachodni nasz port, Szczecin.** W uroczystościach w związku z pierwszą rocznicą jego odzyskania, wzięli udział przedstawiciele Rządu, z Prezydentem Bierutem, Marsz. Rolą-Żymierskim, Premierem Osóbką-Morawskim, wicepremierem Mikołajczykiem, wiceprezydentem K. R. N. Stanisławem Grabskim, Delegatem Rządu min. Kwiatkowskim, min. Informacji i Propagandy Stefanem Matuszewskim i dowódcą Marynarki Wojennej kontradmirałem Mohuczym na czele. Na uroczystości, których punktem kulminacyjnym była w dniu 14-go ub. m. **defilada** organizacji młodzieżowych, społecznych, partii politycznych, związków zawodowych i oddziałów wojskowych, przybyło około 25.000 gości z kraju. W ramach „Dni Szczecina" odbyło się w tym nowym porcie polskim **posiedzenie Komisji Morskiej K. R. N.,** w której wzięli udział: Prezydent Bierut, Premier Osóbka-Morawski, min. Jędrychowski, Delegat Rządu inż. Kwiatkowski i in. W toku zebrania zabierali głos, referując aktualne zagadnienia: min. Jędrychowski, wicemin. Petrusewicz, inż. Riedel, dyr. Wojnar, mgr Milanowski.

Port szczeciński jest obecnie jednym z najważniejszych punktów etapowych dla Polaków, powracających z Zachodu oraz dla Niemców, wyjeżdżających z Polski drogą morską.

Dnia 5-go ub. m. w Stoczni Głównego Portu Marynarki Wojennej R. P. **spuszczony został na wodę pierwszy ścigacz,** zbudowany przez tę stocznię po wojnie. Dnia 9-go ub. m. wznowiona została akcja repatriacyjna z Danii, Szwecji i Norwegii przez Gdańsk i Gdynię. Od 10-go do 12-go ub. m. **na Wybrzeżu bawiła wycieczka dziennikarzy włoskich,** zwiedzając port gdyński, stocznię gdańską Nr 1, Akademię Lekarską, Politechnikę oraz ocalone zabytki Gdańska. W pierwszej połowie kwietnia **do portu gdańskiego wpłynęło 55 statków,** reprezentujących siedem bander: szwedzką (26), duńską (14), amerykańską (5), fińską, norweską, polską i angielską. **Dnia 19-go ub. m. przybył do Gdyni parowiec szwedzki, pasażerski statek-prom „Drottning Victoria", otwierając regularną, bezpośrednią komunikację kolejową Sztokholm — Warszawa.**

Dnia 23-go ub. m. w porcie gdyńskim znajdowało się 46 statków oraz 6 barek rzecznych. Cyfry te najlepiej świadczą o wzroście ruchu w naszych portach. Podczas świąt Wielkiejnocy wróciły z Lubeki do Gdyni dwa holowniki: „Krakus" i „Poluks" oraz jedenaście kutrów rybackich, zagrabionych w czasie wojny przez Niemców.

Po świętach Wielkiejnocy władze radzieckie przystąpiły do przekazania **władzom polskich** (pozostających jeszcze w ich zarządzie) **obiektów,** jak: 38 latarni morskich, 31 boi, 27 świateł nadbrzeżnych, artylerię przybrzeżną, sprzęt okrętowy, środki łączności i obserwacji, urządzenia szkolne i pomoce naukowe oraz zapasy materiałów. Władze radzieckie dostarczą paliwa i innych materiałów dla służby sygnalizacyjno-nawigacyjnej na okres pół roku.

Dnia 23-go ub. m. zawinął do portu gdyńskiego towarowo-pasażerski motorowiec duński „Falstria", który wraz z „Jutlandią" obsługiwać będzie linię Gdynia — Nowy Jork. Statki te odchodzić będą z Gdyni co dwa tygodnie. Podróż nimi do Nowego Jorku trwa 10 dni.

Dnia 26-go ub. m. oddany został do przeładunku **kanał przemysłowy w porcie gdyńskim.** W związku z bardzo dobrymi wynikami połowów łososi w końcu kwietnia, ryby te w Gdyni stały się tańsze od mięsa.

W Gdyni rozpoczął urzędowanie przedstawiciel Lloydu Angielskiego, co ułatwi pracę polskich stoczni, zwłaszcza, jeśli chodzi o wydawanie świadectw kwalifikacyjnych dla wychodzących z remontu statków.

W ostatnich dniach kwietnia na s/s „Katowice" odpłynął do Anglii pierwszy ładunek polskiego ołowiu.

W kwietniu port gdyński przeładował 200 tys. ton węgla na eksport, z tego 95.000 ton do Związku Radzieckiego i 77.000 ton do Szwecji.

Święto Pracy w dniu 1-go maja obchodzone było uroczyście na całym Wybrzeżu. Dnia tego uruchomiono na Żuławach pierwszą pompę odwadniającą. W ten sposób zapoczątkowana została akcja odwodnienia Żuław, niezwykle ważna w przyszłości dla rozwiązania problemu aprowizacyjnego miast portowych, w szczególności Gdańska, Gdyni i Elbląga.

Dnia 3-go bm. przybył do Gdyni, po raz pierwszy po wojnie, s/s „Wisła".

Uchwalony przez Krajową Radę Narodową budżet państwowy do końca br. przewiduje 2 miliardy 228 milionów zł na wydatki inwestycyjne morskie. **D. I.**

KOLEGIUM REDAKCYJNE: Marian Brandys, Janusz Stępowski, Bolesław Wit Święcicki.

REDAKTOR NACZ.: Janusz Stępowski. Redaktor przyjmuje we wtorki i piątki od godz 10 — 12. **REDAKCJA i ADMINISTRACJA:** Gdynia, Mściwoja Nr 9. I p telefon 222-60.

WYDAWCA: Spółdz. Wydawnicza „Czytelnik" Tłoczono w drukarni „Czytelnik" Nr 8. Gdynia, Mściwoja Nr 7. — W-01616